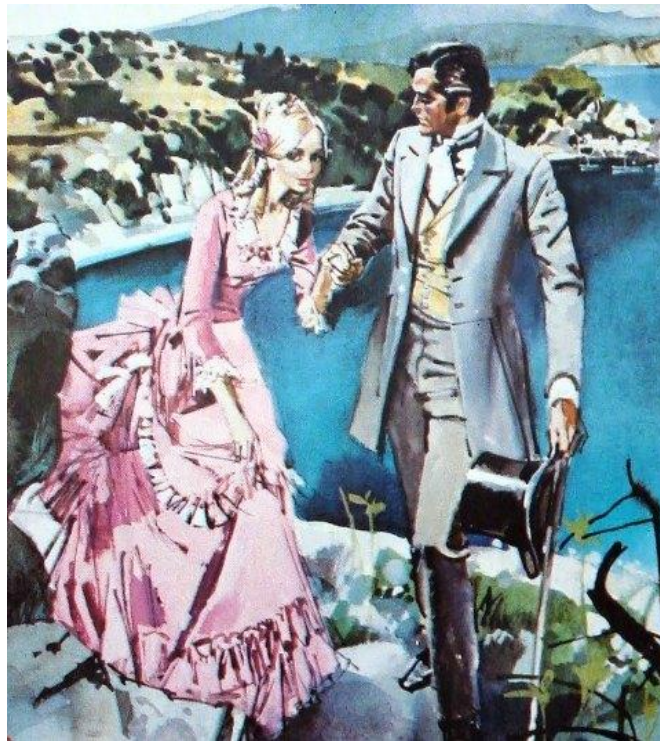


Barbara Cartland

Pieniądze dla księcia

Dollars for the Duke



Od Autorki

Pod koniec dziewiętnastego i na początku dwudziestego wieku, za przykładem Jenny Jerome, która w 1874 roku poślubiła lorda Randolpha Churchilla, wiele amerykańskich dziewczeczek pragnęło poprzez małżeństwo otrzymać arystokratyczny tytuł.

Historycy twierdzą, że do 1909 roku zawarto pół tysiąca związków małżeńskich, w których rozwiązły, ograniczony umysłowo, homoseksualista czy brutalny pan młody był akceptowany, jeśli legitymował się herbem Debrett czy Almanach de Gotha.

Ceremonie ślubne zawsze były dziwaczne, pełne przepychu i szeroko komentowane. W „Sherrys” - nowojorskiej restauracji - eksplodował monstrualnych rozmiarów ptak, obsypując gości dziesięcioma tysiącami róż. W okolicznościach, o których niechętnie wspominały, panny młode wtapiały się w towarzystwo, do którego przepustkę dawał im ślub. W dzieciństwie za najpiękniejszą znaną mi osobę uważałam hrabinę Marlborough, czyli Consuełę Vanderbilt, która, choć bardzo nieszczęśliwa, była uwielbiana przez każdego, kto ją spotkał. W biografii „The Glitter and the Gold” opisuje swe cierpienia i sposób, w jaki zaborcza matka groźbami, a nawet przemocą, zmusiła ją do ślubu z hrabią.

Rozdział 1

ROK 1882

- Zgodnie z twą prośbą, jaśnie panie, przygotowałem pełne rozliczenie.

Księgowy położył na biurku plik kartek.

Księżę spojrział na nie i zamarł, jakby nie dowierzał własnym oczom.

Po dłuższej chwili, gdy przerzucił kilka stron, powiedział:

- Fossilwaithe, czy to możliwe, że mój ojciec zaciągnął tyle długów, a ty czy ktokolwiek inny, nie próbowałeś go upomnieć?

- Jaśnie panie, zapewniam cię - z szacunkiem odparł księgowy - że zarówno ja, jak i moi współpracownicy kilkakrotnie rozmawialiśmy ze starszym jaśnie panem, ale on nie chciał nas słuchać. Raz nawet mi powiedział, że powinienem się zająć własnymi sprawami!

Księżę westchnął.

Był pewny, że księgowy mówi prawdę, bo pamiętał, iż jego ojciec był wyjątkowo niecierpliwy, gdy ktoś sprzeciwiał się mu czy miał inne zdanie.

Jeszcze raz zerknął na kolumny liczb, jakby miał nadzieję, że cudownym zrządzeniem losu mogą się zmienić. Potem rzekł:

- Dobrze, Fossilwaithe, i co proponujesz? Księżę nie zauważył, że starszy człowiek spogląda na niego ze współczuciem.

Księgowy bezradnie rozłożył ręce i powiedział:

- Jaśnie panie, całymi nocami spędzało mi to sen z oczu i, szczerze mówiąc, nie wiem.

Księżę oparł się na swym krześle.

- Może podejźmy do tego bardziej rzeczowo: co mogę sprzedać?

I tym razem pan Fossilwaithe - starszy z udziałowców firmy adwokackiej, która od lat zarządzała majątkiem rodziny Otterburn, nie znał odpowiedzi na jego pytanie.

Jakby nie mógł znieść tej sytuacji, książę wstał zza biurka, przeszedł przez pokój i utkwiał wzrok w widoczną za oknem Park Lane i zieleniące się za nią drzewa Hyde Parku.

Londyński dom Otterburnów był ogromny, imponujący i w pełni zasługiwał na miano miejskiej rezydencji rodziny, której imię nosił.

Czwarty książę Otterburn rozmyślał o zamku i o olbrzymich posiadłościach w Buckinghamshire, które niespodziewanie odziedziczył i dla których przed miesiącem powrócił ze Wschodu.

Nigdy nie spodziewał się, że przypadnie mu tytuł księcia Otterburn, gdyż poza ojcem, który w wieku pięćdziesięciu lat sprawiał wrażenie młodego człowieka i wydawało się, że będzie żył kolejne czterdzieści, miał jeszcze starszego brata.

Jednak księcia seniora niespodziewanie powaliła epidemia, która przeszła przez kraj zeszłej zimy, zbierając większe żniwo ofiar niż przeciętna mała wojna, w jakie Anglia regularnie angażowała się w różnych częściach świata.

Seldon Burn dowiedział się o śmierci ojca, gdy jeszcze dochodził do siebie po wiadomości, iż jego ukochany, starszy brat zginął na polowaniu.

Informacja dotarła do niego ze sporym opóźnieniem, bo na granicy Afganistanu brał udział w ciężkiej kampanii przeciwko zbuntowanym plemionom i nie mógł skontaktować się ze swym ojcem, tak jak planował przed powrotem do Peszawaru.

To właśnie tam czekał na mego telegram z wiadomością, że ojciec także nie żyje, a on sam jest potrzebny w Anglii i powinien wrócić tak szybko jak to możliwe.

Bez trudu uzyskał zgodę na wyjazd.

W czasie, gdy pociągiem albo wolniej, ale znacznie w takich warunkach wygodniej, konno, podróżował przez skwarne równiny, uświadomił sobie, że jego żołnierskie życie dobiegło końca.

Jako młodszy z synów, od wczesnej młodości wiedział, że nie otrzyma od ojca nic poza niewielką pensją, więc sam musiał ułożyć sobie życie.

Później zrozumiał, że choć od śmierci dziadka jego ojciec prowadził rozrzutny i ekstrawagancki tryb życia, wiele wskazywało na to, że dochody z posiadłości nie pokrywały wydatków i długi zaczynały się piętrzyć.

Nie miało to jednak nic wspólnego z Seldonem, który wstąpił do armii, a po kilku potyczkach w różnych częściach świata, między innymi w Sudanie, został wysłany do Indii i tam, bez względu na wszystko, mógł wieść życie według własnych upodobań.

Ponieważ był doskonałym żołnierzem i urodzonym przywódcą, dowodził kompanią, która przetrwała wojenne zawieruchy dzięki jego nieustraszonej odwadze i spostrzegawczości.

Taki właśnie był Seldon Burn, więc szybko zyskał sobie sławę przedsiębiorczego, może trochę nieprzewidywalnego oficera, na którym dowództwo mogło polegać w nagłej potrzebie.

A na północno - zachodnim froncie wciąż były nagłe potrzeby, bo w tej części Indii za każdą skałą, za każdym głazem czaił się wróg.

Seldon ze swymi ludźmi zawsze potrafił przechytrzyć wyszkolonych i uzbrojonych przez Rosjan buntowników.

Płynąc przez Morze Czerwone i Kanał Sueski, wiedział, że ten etap jego życia jest już zamknięty.

Nie był pewny, co czuje będąc czwartym księciem Otterburn.

Gdy trzy lata temu ostatni raz był na urlopie, dyskutowali o tym z jego bratem.

W zaufaniu dowiedział się, że Lionel, gdy odziedziczy tytuł, będzie musiał naprawić, zrujnowane przez ojca, rodzinne finanse.

- Staruszek przepuszcza pieniądze jak wodę - powiedział Lionel.

- Skąd on je bierze? - zainteresował się Seldon.

- Diabli wiedzą! Sam dobrze wiesz, że nie rozmawia ze mną o swym prywatnym życiu.

- Czy naprawdę musi żyć tak rozrzutnie? słyszałem, że mamy teraz dwunastu służących w Buckinghamshire i szczęściu w Londynie, a stajnie są tak przepełnione, że szpilki by tam nie wsadził!

- Wiem - jęknął Lionel - a tata postanowił je jeszcze rozbudować w naszej posiadłości w Newmarket. Nie zwyciężył w tym roku i dlatego wpadł w furję!

- Poza końmi - odparł Seldon - są jeszcze stawiane ponad wszystko piękności!

Bracia roześmiali się. Oczywiście, skoro ich ojciec był nieprzeciętnie przystojnym mężczyzną i lubił piękne kobiety, nie mogło to umknąć ich uwagi.

- Powinieneś zobaczyć ostatnią - odrzekł Lionel. - Doskonale prezentowały się na niej diamenty od ojca!

- Kto to jest?

- Jedna ze słynnych Gaiety Girls. Nie potrafi tańczyć, nie potrafi śpiewać, ale wygląda jak bogini, szczególnie w biżuterii od taty!

Brat znów się roześmiał. Seldon spoważniał:

- Wiesz, Lionelu, będzie ci bardzo ciężko, gdy dostaniesz to wszystko w spadku.

Markiz wzruszył ramionami.

- Nie ma się o co martwić - powiedział. - Tata jest tak silny i zdrowy, że wielce prawdopodobne, iż przeżyje nas obu!

Myśląc o swym bracie, Seldon dostrzegł teraz jego beztroskę, a wraz z nią proroctwo, które się wypełniło.

Dzisiaj Lionel, który nawet nie zdążył się ożenić, już nie żył, a Seldonowi, któremu przez myśl nie przeszło, że zostanie księciem, pozostała w spadku, znacznie większa, niż się spodziewał, ilość długów.

Odwrócił się od okna.

- Panie Fossilwaithe, musimy znaleźć jakieś rozwiązanie,

- Oczywiście, jaśnie panie.

- Podejrzewam, że nie ma szans na sprzedaż tego domu?

- To rodowa posiadłość, panie. Proszę wybaczyć mi śmiałość, ale w przeciwnym razie pański ojciec sprzedałby ją dawno temu.

Księżę znowu usiadł za biurkiem.

- Podejrzewam, że to samo odnosi się do zamku, a szczególnie do płócien?

- Niemal jakby pierwszy księżę, a twój pradziadek, jaśnie panie, przewidział, że coś takiego może się zdarzyć, je także zabezpieczył. Natomiast pański dziad scalał majątek w taki sposób, że jest niemal niemożliwe, by go naruszyć.

Pan Fossilwaithe przerwał, a po chwili dodał:

- Lecz oczywiście jest pięćset akrów gruntu na północnym zachodzie posiadłości, które pierwotnie należały do babki jaśnie pana.

Spojrzenie księcia rozjaśniło się.

- Ile przyniesie wystawienie ich na przetarg?

- Niewiele, jaśnie panie. Myślę, że powinienem panu przypomnieć, iż właśnie na tych terenach stoją nie tylko przytulki, ale i wiele domów zamieszkałych przez poddanych.

Zgasło radosne spojrzenie księcia. Nazbyt dobrze wiedział, że jeśli sprzeda ten grunt, czy to spekulantowi, czy

nawet uczciwemu obszarnikowi, jego poddani zostaną wysiedleni, przytułki opustoszeją, a potem zapełnią je najemcy, którzy będą w stanie zapłacić odpowiedni czynsz.

Spoglądał na leżące przed nim kartki, jakby nadal nie potrafił uwierzyć, że pan Fossilwaithe nie wymyślił tych monstrualnych kwot.

Potem powiedział:

- Myślę, że najlepiej będzie, gdy uważnie przeczytam przyniesione przez pana papiery. Chciałbym także otrzymać remanent posiadłości Otterburn, który, jak rozumiem, pańska firma przygotowała po śmierci mego ojca.

- Kopia jest na zamku, jaśnie panie - odparł pan Fossilwaithe - lecz tu mam drugą, jeśli chce pan, bym ją zostawił.

- Dziękuję.

Pan Fossilwaithe wyjął kopię, a potem z szacunkiem powiedział:

- Przykro mi, jaśnie panie, że nie przyniosłem lepszych wieści i nie mogłem przedstawić przyszłości w bardziej optymistycznych kolorach.

- Powiedziałeś prawdę - odparł książę - a myślę, że zgodzisz się ze mną, iż tylko znając całą prawdę mogę znaleźć wyjście z tego galimatiasu.

Gdy wypowiadał dwa ostatnie słowa, w jego głosie zabrzmiała ostra nuta, a księgowy, spoglądając na niego, zrozumiał, jak bardzo ciąży księciu cała ta sprawa.

Prawdę mówiąc czuł się tak, ponieważ długi osiągnęły astronomiczną kwotę, która kalala dobre imię rodziny.

- Wiesz, jaśnie panie - cichym głosem rzekł pan Fossilwaithe - że w mojej firmie uczynimy wszystko co w naszej mocy, aby ci pomóc.

Książę wstał i wyciągnął rękę. - Wiem i mogę tylko podziękować za to, co do tej pory zrobiliście, za wasz takt i zrozumienie trudnej sytuacji, w jakiej się znalazłem.

- Dziękuję, jaśnie panie.

Pan Fossilwaithe uścisnął dłoń księcia i skierował się w stronę drzwi.

Gdy wyszedł, książę opadł na krzesło, jakby leżące przed nim rachunki opiewające na ogromne sumy pieniędzy odebrały mu siły.

Pytanie, niczym rytm bębnów, powracało do niego wciąż i wciąż.

- Co mam zrobić, do diabła?

W pewnym sensie był zadowolony, że to on, a nie Lionel, musi się zmierzyć z tym problemem.

Lionel nigdy nie był silny i pewnie nie potrafiłby być bezwzględny i stanowczy, czego wymagały zaistniałe okoliczności.

Po pierwsze, trzeba zamknąć zamek.

Wiedział, że samo to przerazi krewnych Burnów, których życie właśnie tu się skupiało.

To właśnie do zamku przybywali przy każdej nadarzającej się okazji, nazywając to „klanowymi spotkaniami”.

Przyjeżdżali na śluby, pogrzeby, rocznice, zjazdy z okazji Bożego Narodzenia czy Wielkanocy, tu chrzcili swoje dzieci i toczyli dyskusje o problemach, których nie potrafili pokonać w pojedynkę. Mogli zatrzymać się w zamku, a z pomocą krewnych znajdowali wyjście z tarapatów.

Książę wiedział, że gdy zamknie zamek, odczują to tak, jakby zostali pozbawieni głównego elementu swego istnienia.

Cóż innego mogę zrobić? - rozmyślał. - To olbrzymi dom, a jego utrzymanie kosztuje fortunę.

Pojechał do zamku, gdy tylko wrócił do Anglii. Zauważył, że w ciągu ostatnich pięciu lat ojciec, nie licząc się z kosztami,

nadał najpiękniejszym pokojom nowy wystrój, ale kuchnie, zmywalnie i spiżarnie były zaniedbane, a pomieszczenia dla służby nie różniły się wiele od slumsów.

Nie zastosowano żadnych nowoczesnych rozwiązań, a ojciec nie zdawał sobie sprawy, ile pracy przysparza służbie jego dbałość o higienę. Nie dostrzegał tego, że dwóch młodych osiłków musiało dźwigać wodę do jego kąpieli przez dwie klatki schodowe i nie kończące się korytarze.

Złota i srebrna zastawa z jadalni była bezcenna, a popękane, gliniane naczynia dla służby nadawały się tylko do śmieci.

Szklarnie z brzoskwiniami i orchideami utrzymywano w wyśmienitym stanie, a jednocześnie ogrodnicy narzekali, że brakuje im narzędzi, a dachy w ich domach przeciekają.

Rozglądając się wokoło, książę pomyślał, że bałby się przesunąć choćby jeden kamień w obawie, co tam znajdzie.

Konie trzeba sprzedać, to nie ulegało wątpliwości.

Stajnia koni wyścigowych przez trzy lata nie odniosła żadnych sukcesów i należało wątpić, czy odniesie je kiedykolwiek.

Chociaż w zamku trzymano niezwykle zwierzęta, pieniądze z ich sprzedaży będą tylko przysłowiową kroplą w morzu długów jego ojca.

Czując, że nie zniesie dłużej ślęczenia nad kolumnami cyfr pana Fossilwaithe'a, książę wrzucił kartki do szuflady.

Wyszedł z biblioteki pełnej oprawnych w skórę woluminów i korytarzem dotarł do salonu, którego okna wychodziły na ogród ciągnący się z tyłu domu.

Ojciec zatrudnił jednego z najdroższych londyńskich dekoratorów wnętrz, by pokrył ściany salonu jedwabnym brokatem, usunął gzymsy i umieścił zdobienia ze złotych liści.

Poza tym sprowadził z Włoch wziętego malarza, by wykonał na suficie malowidło przedstawiające Wenus w otoczeniu amorków.

Wszystko to było niezwykle piękne. Salon bez wątpienia znakomicie pełnił funkcje reprezentacyjne, lecz nic stąd nie nadawało się do sprzedania, a niezaprzeczalnie cudowne i cenne obrazy stanowiły rodową własność.

Książę z przygnębieniem rozejrzał się wokół, podszedł do tacy z trunkami stojącej zgodnie z instrukcją jego ojca w rogu każdego pokoju.

Ojciec bynajmniej nie nadużywał alkoholu, ale gdy chciał porozmawiać z jedną z pięknych dam, które przewijały się przez jego życie, nie życzył sobie, aby służący przerywali mu podając drinki i wołał je nalewać własnoręcznie.

Książę dostrzegł butelkę szampana chłodzącą się w złotym wiaderku zdobionym rodzowym herbem, karafkę z brandy, whisky i sherry oraz tacę makaroników.

Wspominając minione lata, nie mógł sobie przypomnieć, by kiedyś zauważył, jak ktokolwiek sięga po choćby jeden makaronik, choć, zgodnie z poleceniem ojca, były codziennie rano i wieczorem wymieniane na świeże.

Miał tylko nadzieję, że służący z przyjemnością pałaszowali te zdjęte wieczorem ze stołów, by następnego dnia zastąpić je świeżą porcją.

Właśnie nalał sobie małą brandy i dopełnił szklaneczkę wodą z syfonu, gdy drzwi się otworzyły, a majordomus zaanonsował:

- Jaśnie panie, lady Edith Burn!

Książę odwrócił się i ze zdziwieniem popatrzył na swą kuzynkę, która, mimo niemłodego już wieku, wciąż wyglądała nie tylko elegancko, ale świeżo i pięknie.

- Edith! - powiedział zaskoczony, odstawiając szklaneczkę. - Co za niespodzianka! Myślałem, że bawisz za granicą.

- Wróciłam specjalnie, żeby się z tobą spotkać, Seldonie - odparła lady Edith. - Szczerze mówiąc, wczoraj rano przybiliśmy do Southampton.

- Więc byłeś w Ameryce. Lady Edith przytaknęła.

Przeszła przez pokój, by spocząć na niebieskiej, obitej brokatem sofie i ze współczuciem spojrzała na kuzyna spod eleganckiego, zdobionego strusimi piórami kapelusza.

Książę patrzył na nią z błędzącym na ustach uśmiechem. Po chwili zapytał:

- I cóż? Jaki werdykt? Lady Edith zaśmiała się.

- Seldonie, nie jesteś takim młokosem, by nie zdawać sobie sprawy ze swej urody, a na widok tak przystojnego mężczyzny setki angielskich serc zabiją żywiej!

- Wątpię - odparł szorstko książę. Lady Edith uniosła brwi.

- Co to ma oznaczać? - zapytała.

- Książę bez grosza przy duszy, za to z długami, które odsuną go od czynnego życia towarzyskiego, nie jest najlepszą partią.

Raptownie przybierając delikatny ton, lady Edith odparła:

- Drogi Seldonie, bałam się, że to właśnie odkryjesz po powrocie do domu.

- Wiedziałem, że jest kiepsko - odparł książę - zauważyliśmy to jeszcze z Lionelem, lecz nie spodziewałem się katastrofy!

Lady Edith westchnęła.

- Lubiłam twojego ojca. Był jednym z najbardziej fascynujących ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałam, ale nigdy nie potrafił sobie niczego odmówić, a im bardziej kosztowna była to zachcianka, tym mocniej jej pragnął.

- To świetnie, że dobrze się bawił - cierpko odparł ksiązę
- tylko że prawda jest taka, iż to ja muszę w jakiś sposób spłacić jego wierzycieli, co na pierwszy rzut oka zajmie mi całe życie. Muszę poszukać pracy, jeśli nie chcę przymierać głodem!

W jego głosie wyraźnie zabrzmiała nuta goryczy i lady Edith powiedziała:

- Seldon, kochanie, tak mi przykro.

- To jest nas już dwoje - odparł ksiązę. - Powiem więcej, wszystkim wam będzie przykro, gdy zamknę zamek i ten dom, lecz nie mam innego wyjścia i im szybciej rodzina to zaakceptuje, tym lepiej!

- Złamiesz im serca - cicho powiedziała lady Edith.

- Byłem pewien, że tak będziecie się czuć - odrzekł ksiązę. - Właśnie był u mnie pan Fossilwaithe. Suma długów mojego ojca mogłaby pokryć koszt kilku bardzo potrzebnych bitew albo zaopatrzyć armię w przynajmniej dwa regimenty żołnierzy!

Jakby nie mógł znieść spojrzenia lady Edith, kolejny raz podszedł do tacy z alkoholami, a stojąc przy niej, zapytał:

- Czego się napijesz?

- Poproszę małą sherry - odparła lady Edith.

Nalewając jej drinka, ksiązę pomyślał, że jest zadowolony, iż to właśnie kuzynka Edith usłyszała tę złą nowinę jako pierwsza.

Była, według niego, jedną z najbardziej uroczych i sympatycznych osób w rodzinie i miała więcej zdrowego rozsądku niż wszyscy pozostali razem wzięci.

Jej historia należała do gatunku smutnych. Jako osiemnastolatka zaręczyła się z przystojnym, bogatym i utytułowanym mężczyzną, który z wzajemnością zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia.

Był od niej kilka lat starszy i dużo podróżował po świecie, czasem jedynie dla przyjemności, a czasem jako poliglota spełniał rolę nieoficjalnego, ale utalentowanego wysłannika rządu.

Zaręczyli się, ale jak się należało spodziewać, rodzice lady Edith wymogli na nich zwyczajowe sześć miesięcy narzeczeństwa przed ślubem.

Wtedy to poproszono jej narzeczonego o udział w pewnych nieoficjalnych negocjacjach pomiędzy ministerstwem spraw zagranicznych a sułtanem Maroka.

Nie mógł odmówić, więc czule pożegnawszy się z lady Edith, powiedział, że wypełni swą misję tak szybko, jak tylko zdoła, i wróci najpóźniej dwa miesiące przed umówionym terminem ślubu.

Wyjechał, a lady Edith wyczekując każdego dnia człowieka, którego rozpaczliwie kochała, próbowała się zająć kompletowaniem ślubnej wyprawy. Jednak gdy nadeszła pora jego powrotu, słuch o jej narzeczoneym zaginął.

Minął kolejny miesiąc, zanim zdołała przekonać ojca, by zasięgnął informacji w ministerstwie spraw zagranicznych.

Wtedy okazało się, że gdy tylko narzeczoney lady Edith dotarł do Maroka, zniknął w nie wyjaśnionych okolicznościach.

Upłynęło znów trochę czasu, zanim skontaktowano się z konsulem brytyjskim i jego odpowiedź dotarła do Anglii.

Mijały miesiące, a lady Edith otrzymała jedynie wiadomość, że widziano jej narzeczonego we wrogim sułtanowi plemieniu i że prawdopodobnie był ich więźniem.

Wszyscy znawcy tematu twierdzili, że był gdzieś przetrzymywany, ale nikt nie umiał dojść gdzie. Edith miała wrażenie, że ministerstwo spraw zagranicznych ślamazarnie zabiera się do poszukiwań.

Mijały miesiące, minął rok, a ona wciąż nie miała żadnych nowych wieści.

Po staraniach jej ojca ministerstwo wysłało do Maroka przedstawiciela, który miał rozpocząć poszukiwania na miejscu.

Krażyły plotki, że narzeczonego Edith widziano w centrum kraju, że był pilnie strzeżony, lecz uciekł, a wszelkie ślady po nim ginęły w pustynnych piaskach. Opowiadano także wiele innych historii, ale żadna nie nosiła znamion prawdopodobieństwa.

Niezależnie od plotek, fakt pozostawał faktem: nie wrócił, a ministerstwo nie wywierało na sułtana adekwatnej do swych możliwości presji.

Czas mijał, a Edith nadal czekała, chociaż jej rodzice i wszyscy dookoła twierdzili, że nie ma już żadnej nadziei i że musi się pogodzić z jego śmiercią.

Dopiero dziesięć lat później, gdy badacze powracający z dzikich rejonów Maroka opowiadali o plemienu, które aż do śmierci więziło białego człowieka, Edith pojęła, że jej ukochany nie powróci.

Wtedy jakoś ułożyła sobie życie, ale nigdy nie wyszła za mąż.

Będąc zamożną osobą zaczęła podróżować, najpierw pod opieką rodziców, później z opiekunem, a wreszcie, gdy dorosła, jedynie z pokojówką.

Miała trzydzieści pięć lat, gdy opublikowała swą pierwszą książkę „Podróże na Wschód”, do której po roku dołączyły „Podróże na Zachód”.

Kiedy poddani królowej Wiktorii zainteresowali się światem zewnętrznym, którego znaczną część zawłaszczyli dla Anglii, jej książki stały się popularne, a lady Edith zyskała sławę.

Jej niezależność budziła wrogość wśród tych, którzy uważali, że kobieta nie poradzi sobie bez wsparcia mężczyzny a zadowolenie powinny przynieść jej dom i dzieci, a jeśli ich nie ma, to dobra praca.

Lecz lady Edith kwitowała to uśmiechem i cieszyła się swą popularnością, a książę, patrząc na nią, pomyślał, że skoro przez swe doświadczenia zyskała mądrość i rozsądek, mogłaby mu pomóc, gdy nadejdą nieuniknione protesty i spory z rodziną.

Podał jej szklaneczkę sherry, wziął swoją brandy z wodą sodową i wypił łyk.

- Tak wygląda sytuacja, Edith - powiedział - i nic na to nie poradzę.

- Przeciwnie - odparła lady Edith - znam pewne wyjście, tylko musisz mnie wysłuchać.

- Oczywiście, wszystkiego, co masz do powiedzenia - rzekł książę.

Mówiąc te słowa, miał przeczucie, że nie będzie to praktyczna propozycja.

Lady Edith odstawiła szklaneczkę na stolik stojący przy sofie i powiedziała:

- To proste, mój drogi Seldonie. Oto, co zrób - ożeń się z pieniędzmi!

Książę oczywiście nie spodziewał się takiej odpowiedzi.

Spoglądał na nią, sądząc, że źle usłyszał.

- Właśnie wróciłam z Ameryki - wyjaśniła lady Edith, dostrzegając jego zdziwienie. - W Nowym Jorku aż roi się od ambitnych kobiet, których pierwszym i najważniejszym marzeniem jest wydać swoje córki za angielskich arystokratów. Francuzi, Włosi i inni Europejczycy są niechętni takim mariażom, zwłaszcza w rodach książęcych.

- Chyba nie mówisz poważnie! - wykrzyknął książę.

- Jak najbardziej poważnie! - odparła lady Edith. - Od ślubu Jenny Jerome z lordem Randolphem Churchillem w 1874 roku, małżeńskimi ambicjami matron z Piątej Alei jest widzieć swe małe córeczki w koronie, a laurowe liście nećą jak nic innego.

- Nawet jeśli to, co mówisz, jest prawdą, cały ten pomysł jest odrażający! Niedobrze mi się robi!

- Spodziewałam się takiej odpowiedzi - uśmiechnęła się lady Edith - a ponieważ długo nie było cię w Anglii, nie wiesz, że wielu angielskich dżentelmenów z przyjemnością wymieniło swoje tytuły na kilka milionów dolarów.

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedział książę - i pozwól, że ci powiem, iż wszystkie propozycje znizenia się do takiego poziomu spotkają się ze zdecydowanym: „nie”!

Lady Edith podniosła swą szklaneczkę sherry.

- Oczywiście, drogi Seldonie, masz rację - odparła - i podziwiam cię za to. Po tym jednak co mi powiedziałeś, a co sama doskonale wiedziałam, zanim tu przyszedłam, chciałabym ci zadać kilka pytań.

- Jakich pytań? - zapytał książę tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- Twoja ciotka przysłała mi list, który otrzymałam tuż przed wyjazdem z Nowego Jorku, gdzie informuje mnie, że od śmierci twego ojca nie otrzymuje swojej pensji.

Czekała na reakcję księcia, a gdy nie odpowiadał, mówiła dalej:

- On zapisał jej 750 funtów rocznie i są to jedyne pieniądze, jakie ma na życie. Oczywiście, posiada dom w majątku, który według moich informacji wymaga gruntownego remontu, lecz ona ma prawie osiemdziesiąt lat i wątpię czy poradzi sobie dysponując mniejszą sumą i mając na utrzymaniu jeszcze dwoje służących, którzy pracowali u niej przez lata.

Książę nie odzywał się, a lady Edith mówiła dalej:

- Jest jeszcze kilku takich staruszków, którymi twoja rodzina się opiekowała. Mam listę ich nazwisk, a rozpoczyna ją twoja stara guwernantka. Chyba pamiętasz pannę Chamberlain? Ona otrzymuje tylko 200 funtów rocznie, ale ma sześćdziesiąt siedem lat i cierpi na reumatyzm, więc nawet gdyby chciała, nie mogłaby już pracować.

Mówiąc to lady Edith wyciągnęła z torebki kartkę, a teraz spojrzała na księcia. Na jego twarzy malowało się rozdrażnienie.

- Służący - mówiła dalej - i inni opłacani pracownicy należą oczywiście do specjalnej grupy ludzi, którą nadzoruje zarządca majątku, ale niedyskrecją byłoby informowanie ich o obecnych pensjach naszych krewnych. Podniosła kartki.

- Mam tu ich listę. To wychodzi ponad trzy i pół tysiąca funtów rocznie, a szczerze mówiąc, Seldonie, bez podwyższenia tych sum ciężko będzie im przeżyć.

- Podwyższenia?! - wykrzyknął książę. - Jak ci się wydaje, skąd ja mam nagle wziąć trzy i pół tysiąca funtów rocznie?

Lady Edith westchnęła.

- Wiem, że to niemożliwe, ale co zrobić z tymi staruszkami? Bez pieniędzy wszyscy skończą w domach opieki.

Książę Otterburn kolejny raz minął pokój i podszedł do okna.

- Krew mnie zalewa - powiedział z wściekłością - gdy tylko pomyślę o pieniądzach, które mój ojciec roztrwonił na aktoreczki, na konie, które nigdy nie opuściły swych stajni, by stanąć do wyścigu i na zastępy nikomu niepotrzebnych służących.

- Ciężko o tym myśleć - wyrozumiale odparła lady Edith - ale nie cofniemy czasu i nie zmienimy tego, co się stało.

- Wiem - odrzekł książę. - Pytanie tylko, co z tym zrobić?
- Jeśli nie zamierzasz dopiąć swego mordując wszystkich, którzy znaleźli się na liście, istnieje tylko jedno wyjście.

- Ożenić się dla pieniędzy? - zapytał książę. - To poniżające i plugawe rozwiązanie, które według mnie jest gorsze niż handel niewolnikami, albo sprzedawanie się prostytutek w domach publicznych!

Mówił surowym, ostrym tonem, a po chwili milczenia dodał:

- Wybacz mi, Edith, nie powinienem zwracać się do ciebie tym tonem.

- Rozumiem cię, Seldonie - rzekła miękko - dla kogoś tak zasadniczego i prostolinijnego jak ty, to musi być ogromna rozterka.

Książę westchnął głośno, a ona kontynuowała:

- Lecz takie rzeczy zdarzały się wśród angielskiej arystokracji od zarania. Przypatrz się rodzinom, które znamy i podziwiamy. Zawsze przy tej czy innej okazji przyjmowali w swe szeregi dziedziczkę, która zappełniała skarbiec, a ja nie mogę się oprzeć wrażeniu, że odrobina pospolitej krwi zmieszana z czystą błękitną, poprawiała gatunek!

- Mimo wszystko uważam, że nie jest to najbardziej praktyczne rozwiązanie - niecierpliwie odparł książę.

- Pozwól, że będę miała odmienne zdanie. Ponieważ spędziłam dużo czasu w Nowym Jorku, chyba rozumiem uczucia matek z Nowego Świata, które chcą zapewnić swym córkom wszystko co najlepsze w Starym.

Dostrzegła wyraz twarzy księcia i powiedziała:

- Niektóre Amerykanki to bardzo atrakcyjne, posiadające i osobowość, i charakter kobiety, a do tego znacznie lepiej wykształcone niż nasze panny.

Zauważyła sceptycyzm w jego spojrzeniu, więc kontynuowała, zanim miał szansę się odezwać:

- Amerykanie są inni. W młodości całą swoją energię, siłę i ambicje skupiają na zarabianiu pieniędzy. Rzadko który jest kulturalny, a gdyby się nad tym zastanowić, rzadko który interesuje się czymś więcej niż własnymi problemami, czyli finansami!

- Nie chcę tego słuchać! - krzyknął książę.

- Owszem, chcesz! - ostro odparła lady Edith. - Mówię ci, Seldonie, że jedyną szansą ocalenia rodziny, zamku i życia zależnych od ciebie ludzi, jest ślub z uroczą Amerykanką, która ofiaruje ci fortunę i da wolną rękę w dysponowaniu nią w zamian za twoje nazwisko i książęcy tytuł.

- To pachnie osiemnastowiecznym stręczycielstwem!

Był wściekły i chciał, by te słowa zabrzmiały jak obelga.

Lady Edith roześmiała się.

- Seldonie, jeżeli próbujesz mnie zranić, to nic z tego. Wiem, jak się czujesz, ale nawet podobni tobie idealisci muszą zaakceptować świat, jakim jest, a nie, jakim chcieliby go widzieć.

Już łagodniejszym tonem dodała:

- Uważam, że małżeństwo jest twoim obowiązkiem, a gdy już to przełkniesz, okaże się, że nie jest tak fatalnie, jak przypuszczałeś. Obiecuję, że wybiorę ci żonę, która będzie i atrakcyjna, i odpowiednia dla ciebie. To dwie cechy, które, ku twemu zaskoczeniu, Amerykanie posiadają, a my zazwyczaj zatracamy.

Lady Edith przerwała na chwilę, lecz zaraz mówiła dalej:

- Wcześniej czy później musisz się ożenić. Gdybyś popatrzył na angielskie dziewczęta, które pierwszy raz opuszczają szkolne mury, gdzie zawsze były pod kuratelą opiekunek, i które aż do czasu debiutu nigdy nie pokazują się publicznie, byłbyś załamany.

Nie dała księciu czasu na odpowiedź i kontynuowała:

- Nigdy nie rozmawiały z żadnym mężczyzną poza miejscowym kuratorem i trudno uwierzyć, by były to czarujące, dowcipne, obdarzone fantazją kobiety, które niewątpliwie pociągały cię, gdy byłeś daleko stąd, na jakimś bitewnym polu.

Lady Edith śmiała się przy tych słowach i dodała:

- Jeśli wybierzesz na żonę Angielkę, wasze życie będzie jak jedno, długie ziewnięcie. Ja zaś proponuję ci coś odmiennego, gdzie na dodatek, poza walorami ciała, dostaniesz wiele milionów dolarów.

- Nie zrobię tego! - stanowczo odparł książę. - Niech mnie diabli, nie zrobię!

Lady Edith nie odpowiedziała. Wypiła mały łyk sherry.

- Edith, słyszysz co mówię? - zapytał książę tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- Słyszę, Sledonie - odparła kuzynka - ale ożenisz się, bo nie pozostało ci nic innego.

Rozdział 2

Magnolia zamknęła drzwi i pospiesznie wsunęła przeczytany liścik pod sukienkę.

Spięta stanęła czujnie, a do pokoju wkroczyła jej matka.

Pani Vandevilt, znana jako „potwór z Piątej Alei”, była niezwykle piękną kobietą.

Ubierała się niczym cesarzowa, a dzięki sznurom pereł układającym się na smukłej szyi i ogromnym diamentowym kolczykom w uszach wyglądała jak milionerka ze Wschodu.

Patrzyła na córkę twardym wzrokiem, a na jej ustach nie zagościł nawet cień uśmiechu...

Magnolia czuła, że drży na całym ciele. Po długiej chwili krępującej ciszy matka powiedziała:

- Wiem, że godzinę temu dostarczono tu kwiaty. Od kogo?

- Ja... ja nic nie wiem.

To było kłamstwo, nie najbardziej udane kłamstwo, i Magnolia nie potrafiła spojrzeć matce prosto w oczy.

Rozejrzała się po pokoju i zatrzymała wzrok w miejscu, gdzie na inkrustowanym kościu słoniową stoliku, pośród bezcennej porcelany z Sevres stał wazon pełen konwalii.

Pani Vandevilt podążyła za wzrokiem córki i zacisnęła usta.

- Konwalie! - rzekła szorstko. - Przypuszczam, że przypominasz swemu adoratorowi kwiat konwalii. Dobrze, pokaż, co ci napisał.

Znów zapadła nieprzyjemna cisza, zanim Magnolia wykrztusiła przestraszonym, cienkim głosem:

- Nie... nie wiem... o czym mówisz...

- Magnolio, przestań mnie oszukiwać - ostro powiedziała pani Vandevilt - bo i tak nigdy nie potrafiłaś kłamać. Wiem, kto ci przysłał to zielsko, i chcę zobaczyć list od niego.

Magnolia nie odpowiedziała, a pani Vandevilt dostrzegła, że jej córka zbladła i drżą jej ręce. Podeszła do niej.

- Magnolio, nie uderzyłam cię, odkąd skończyłaś piętnaście lat, ale jeśli nadal będziesz kłamać, nie zdołam się powstrzymać i sprawię ci największe lanie w twoim życiu!

- Mamo!

To był krzyk rozpacz.

- Wiesz, że to zrobię - odparła pani Vandevilt. - Daj mi list!

Wyciągnęła dłoń, a Magnolia, po chwili zmagania się z posłuszeństwem wobec matki, której zawsze się obawiała, odpięła stanik sukienki i wyciągnęła list z ukrycia.

Drżącymi rękami podała go matce, która powiedziała:

- Policzę się z mężczyzną który to napisał, a ty będziesz opuszczać ten dom tylko pod opieką i nie pójdziesz na żaden bal ani przyjęcie, aż do czasu wyjazdu do Anglii.

Magnolia zamarła, a po chwili ciężkiej do zniesienia ciszy zapytała:

- Do... do Anglii? Mamo?... Wyjeżdżamy za... za granicę?

- Pojedziesz do Anglii, aby poślubić księcia Otterburn.

Pani Vandevilt chciała nadać głosowi surowy ton, ale nie potrafiła ukryć wyraźnej nuty triumfu. Nie poruszyło jej nawet przerażone spojrzenie córki.

- Ależ... mamo... - Magnolia z trudem wymawiała każde słowo - jak... jak mogę poślubić księcia... księcia Otterburn? Przecież... ja go nigdy nie... nie widziałam.

- To bez znaczenia - syknęła pani Vandevilt. - Wszystkim zajęła się lady Edith Bum, więc możesz się uważać za bardzo szczęśliwą młodą kobietę. Nie mogę się doczekać widoku pani Astor, gdy ogłosimy zaręczyny.

- Ale... mamo.. ja nie.... ja nie mogę... To... to niemożliwe! - usiłowała protestować Magnolia.

Jakby nie mając nic więcej do powiedzenia, matka zwróciła się w stronę drzwi.

Już wychodziła, gdy obejrzała się i spojrzała na bukiet konwalii stojący na stole.

Zawróciła, wyjęła go, cisnęła na podłogę i zdeptała delikatne kwiaty.

Potem wyszła z pokoju, nie spoglądając więcej na córkę.

Magnolia krzyknęła i ukryła twarz w dłoniach.

Czuła, jakby matka, deptając te rośliny, zniszczyła coś, co zrodziło się w niej zeszłej nocy, a co było jak pierwsze paki kwiatów na wiosnę.

To był całkiem zwyczajny bal, dopóki nie zatańczyła z nim.

Pozostałych partnerów znała od lat: najpierw z dziecięcych zabaw, potem z potańcówek dla nastolatków, a wreszcie z balu wydanego z okazji jej osiemnastych urodzin.

Gdy dorosła, stwierdziła, że oni wszyscy są tacy sami - albo zbyt nieśmiali, albo zbyt natarczywi ze swoim: „Jezu! Jaka jesteś słodka!”

Kiedyś powiedziała ojcu:

- Tato, to absurdalne, ale czuję, jakbym była o wiele starsza od chłopców, z którymi muszę tańczyć, a gdy siedzę z nimi przy stole, nie mają innych tematów poza koźmi, a i o tym lepiej rozprawiają niż na nich jeżdżą!

Ojciec zaśmiał się, ale Magnolia zauważyła smutek w jego spojrzeniu, gdy mówił:

- To całkiem oczywiste, kochanie, skoro jesteś równie mądra jak piękna.

- Cieszę się, że dostrzegasz we mnie obie te cechy - uśmiechnęła się Magnolia.

- Oczywiście, że dostrzegam - odpowiedział jej ojciec - i dlatego chciałbym ci pokazać obraz, który właśnie kupiłem i którego nikt w tym domu nie doceni tak jak ty.

Magnolia wiedziała, że w ten oględny sposób dawał ujście swym ciągłym frustracjom z powodu jej matki, gdyż pani Vandevilt odkrywszy zamiłowanie męża do sztuki, określiła je mianem straty czasu.

Uważała też, że pieniądze, które przeznaczal na bardzo staranną edukację Magnolii, znacznie rozsądniej ulokowałby w klejnotach.

Jednakże zwykle spokojny i ugodowy pan Vandevilt, który w wielu sytuacjach ulegał życzeniom żony i pozwalał jej robić to, na co miała ochotę, gdy chodziło o wykształcenie córki, był twardy jak głaz.

To on wybierał guwernantki i nauczycieli Magnolii, a ponieważ pani Vandevilt nie przywiązywała wagi do rzeczy niematerialnych i nie budzących zachwyty, przystawała na jego decyzje.

Magnolia była bystra i inteligentna i nauka roztaczała przed nią wciąż nowe horyzonty.

Uszcześliwiała ją to z tej prostej przyczyny, że żadna inna dziewczyna w Ameryce nie była tak pilnowana, ograniczana i, jak sama często o sobie myślała, więziona, jak ona.

Lecz i żadna inna dziewczyna w Ameryce nie była tak bogata jak Magnolia Vandevilt.

Gdy jej ojciec i matka pobrali się, był to nie tylko związek dwojga niezwykle urodziwych ludzi, ale i dwóch fortun.

Zgromadzili je ich przodkowie, pionierzy, którzy przybyli do Nowego Świata po pieniądze i mieli dość rozumu, by inwestować je w ziemię, po której stąpali.

Dziad pana Vandevilta i jego syn skupowali akry bagnistych wysp, na których teraz rozciąga się Nowy Jork, a ojciec pani Vandevilt zainwestował w kopalnie złota i szyby naftowe.

Obecnie tragedią rodziny Vandeviltów było to, że posiadali tylko jedno dziecko, któremu mieli pozostawić

oszałamiającą fortunę, co stanowiło jeszcze większe nieszczęście dla samej Magnolii.

Gdy była dość duża, by rozmyślać o sobie samej, zrozumiała, że jest „wyjątkowa”.

Nie mogła pływać na kajaku czy spacerować po Central Park ze swą nianią, nie mając przy boku dwóch ludzi z ochrony.

Przywykła do tego i dopiero wtedy, gdy zdała sobie sprawę, że nikt, kto według niej byłby odpowiednim kandydatem na męża, nie spełniał wymogów jej matki, zaczęła się bać.

Była romantyczką, a cechę tę bardzo starannie pielęgnował w niej ojciec, więc wyobrażała sobie, że któregoś dnia spotka swego księcia z bajki.

To ojciec dał jej do przeczytania „Romea i Julię”; to on opowiadał dzieje Dantego i Beatrycze; to przez niego płakała przy historii Heloizy i Aheralda i, gdy spoglądała wstecz, to on, gdy miała pięć lat, siadywał przy jej łóżeczku i opowiadał baśń o Kopciuszku.

Gdy dorosła, pan Vandevilt z nieskrywaną radością zauważył, że córka dzieli jego miłość do malarstwa.

Założył swą kolekcję, gdy był bardzo młodym człowiekiem, podczas pierwszej wyprawy do Florencji.

Zawsze z trudem tłumaczył innym, poza Magnolią, co czuł, gdy w Galerii Uffizi stał zachwycony wpatrując się w malowidła Botticellego.

Jego serce rwało się ku nim i wtedy poznał uczucie miłości.

Ta miłość znaczyła dla niego więcej niż wszystko inne w życiu i miał szczęście, że dysponował fortuną, która pozwalała mu gromadzić nie tylko dzieła dostępne u marszandów, ale i kupować je od samych artystów, których prace miały dla niego urok, nie zauważany przez innych kolekcjonerów.

W prywatnych pokojach ogromnego domu z czerwonego piaskowca, stojącego przy Piątej Alei wisały dzieła Sisleya, Moneta i Renoira, które kupił za kilka marnych franków, gdy wszyscy wyśmiewali absurdalność impresjonistów.

- Kochanie jest w tobie coś - powiedział Magnolii, gdy dorosła - co przypomina mi Sisleya.

Magnolia roześmiała się.

- Tato, teraz to już na pewno mnie oszukujesz.

- Stwierdzam fakt - odparł pan Vandevilt. - Masz w sobie wdzięk i zwiewność, wydaje się, jakby bił od ciebie blask, a tylko Sisley umiał to utrwalić na swych płótnach.

Jej matka była innego zdania.

- Jesteś za wysoka, masz za długą szyję i doprawdy nie wiem, skąd u ciebie ten bezsensowny, dziecinny wyraz twarzy - mówiła ostrym tonem. - Masuj nos, żeby urósł dłuższy.

Prychnęła rozdrażniona i kontynuowała:

- Bóg mi świadkiem, że pragnęłam córki o klasycznej urodzie, a nie myślę, że te obrazy, o których papla ciągle twój ojciec, potrafią ją stworzyć.

Matka miała na myśli malowidła Rubensa, Rembrandta i van Dycka, wiszące w olbrzymim salonie, na korytarzu i w galerii.

Przyjaciele pani Vandevilt spoglądali na nie z zazdrością, a prasa opisywała jako część najlepszej amerykańskiej prywatnej kolekcji.

Gdyby tylko mogła, Magnolia najchętniej siadywałaby cichutko wraz z ojcem w małej, zgrzebnej pracowni i przypatrywała się Sislejowskim drzewom i łanom kukurydzy kołyszącym się na wietrze, modląc się, by dla ojca była zawsze tak piękna jak te płótna, które tyle dla niego znaczyły.

Dorastając, zauważyła, że coraz trudniej było jej zostać sam na sam z ojcem.

Teraz matka skupiła na niej całą swą energię, traktując ją jak jeden z towarzyskich czy charytatywnych projektów, za które rodzima prasa niemal codziennie wychwalała ją pod niebiosą.

Przymiarki krawieckie ciągnęły się w nieskończoność, aż któregoś dnia Magnolia powiedziała ojcu:

- Już wolałabym chodzić nago albo w prostej tunice jak Greczynka.

Uśmiechnął się i Magnolia wiedziała, że zrozumiał, jak bardzo ją to nudzi.

- Próbowałam czytać podczas miar - mówiła dalej Magnolia - ale mama wyrwała mi książkę i powiedziała, że żaden mężczyzna nie zechce kobiety, która będzie miała w głowie tylko puste fakty i liczby.

Ojciec westchnął, ale nic nie odpowiedział, więc Magnolia po chwili spytała:

- Tato, dlaczego ożeniłeś się z mamą?

- Odkąd była małym dzieckiem, zawsze rozmawiali bardzo szczerze i Magnolia zadawała ojcu pytania, na które nikt inny nie udzieliłby jej odpowiedzi.

Ojciec przez chwilę się nie odzywał, lecz ona wiedziała, iż nie dlatego, że był zakłopotany pytaniem, lecz ponieważ spoglądał w przeszłość, by powiedzieć jej prawdę.

- Nasi rodzice ukartowali to i skłonili nas ku sobie, gdyż sądzili, że dobrze będzie połączyć dwie tak wielkie fortuny - pan Vandevilt zaczął tłumaczyć po długim milczeniu, - Twoja matka była naprawdę bardzo piękna.

Uśmiechnął się smutno, a po chwili dodał:

- Wtedy niewiele wiedziałem o kobietach, bo niemal cały swój czas poświęcałem obrazom. Przypominała mi madonnę z obrazów wczesnych włoskich mistrzów.

Magnolia milczała, zaś on nie powiedział nic więcej. Oboje wiedzieli, że po dziewiętnastu latach zmagania, by dostać

się na szczyt towarzyskiego świątka, jej matka, bardziej niż madonnę, przypominała Meduzę z diamentami zamiast węży we włosach.

Wkrótce po ślubie okazało się, że pani Vandevilt ma żelazną wolę i bez względu na przeciwności jest zdecydowana iść własną drogą.

Była arogancka wobec swych pracowników, a mąż, czując niesmak wobec wszelkich awantur, znalazł się na marginesie jej życia.

Cieszył się bardzo swymi obrazami i otaczał nieliczną grupą przyjaciół dzielących jego zainteresowania.

Dlatego nie mógł wtrącać się w wychowanie Magnolii, chociaż uważał, że żona traktuje ją zbyt surowo.

- Muszę być dla mojego dziecka ojcem i matką - pani Vandevilt zwierzała się przyjaciołkom. - Mąż w ogóle się nią nie interesuje.

To nie była prawda, ale pan Vandevilt postanowił nie podtrzymywać swego autorytetu, bo w większości przypadków przyniosłoby to więcej szkody niż pożytku.

Tak jak pani Vandevilt w dzieciństwie była bita przez swego ojca, tak i Magnolia otrzymywała razy z rąk swej matki.

Zazwyczaj uderzała ją po nogach szpicrutą, a że Magnolia była niezwykle, jak na tak małe dziecko, dumną osobką, nie pozwalała sobie na krzyk czy choćby płacz, póki nie została sama.

To zaostrzało kary, bo pani Vandevilt postanowiła złamać córkę.

Choć starała się tego nie okazywać, wrażliwą i delikatną Magnolię dręczyły zarówno cierpienia fizyczne, jak i gwałtowne awantury i krzyki, i dlatego bała się matki.

Jedyną pociechą było to, że podobnie jak jej ojciec, też mogła uciec w świat książek.

Czytała i czytała, i częstokroć otrzymywała lanie, gdyż nie odkładała książki, chociaż miała już spać. Lecz to jej nie powstrzymywało.

Zbudowała swój własny świat marzeń, gdzie wszystko było inne niż rzeczywistość jej rodzinnego domu.

Była bardzo romantyczna, więc nie mogło tam zabraknąć rycerza w lśniącej zbroi i księcia Uroczego, który chronił ją, walczył za nią i któremu mogłaby oddać swe serce.

Zeszłej nocy na balu pomyślała, że znalazła go naprawdę.

Mężczyzna, który poprosił ją do tańca, był Anglikiem, siostrzeńcem jednej z największych nowojorskich dam, której siostra poślubiła angielskiego lorda. Jak donosiła prasa, ich syn zawitał do Ameryki w swej podróży dookoła świata.

Był wysoki, przystojny, miał niebieskie oczy i Magnolia pomyślała, że mógł przybyć prosto z jednej z baśni, które opowiadał jej ojciec, gdy była mała.

Tańczyli razem, gdy powiedział:

- Jesteś piękna i zupełnie inna niż wszystkie dziewczęta, jakie do tej pory spotkałem. Naprawdę, przypominasz mi kwiat konwalii.

- Dziękuję - uśmiechnęła się - ale mam na imię Magnolia.

- To też ci pasuje - odparł. - Skąd tak niezwykle imię?

Magnolia zaśmiała się.

- Pewnie gdy się urodziłam, akuszerka powiedziała ojcu: „Śliczne maleństwo. Ma skórę jak płatki magnolii”!

Roześmiał się i odrzekł:

- Twoja skóra na pewno nie zmieniła się od tamtej pory, a ja mam ochotę ją pogłaskać.

Magnolia spojrzała na niego zaskoczona, myśląc, że to bardzo poufała uwaga. Żaden ze śmiałych, młodych Amerykanów, z którymi zwykle tańczyła, nie odważyłby się na taką replikę.

Gdy jej wzrok napotkał spojrzenie jego błękitnych oczu, przebiegł ją dreszcz podniecenia, a zarazem zawstydziła się.

- Muszę się z tobą spotkać - powiedział nagłym tonem.
- Jak moglibyśmy to zrobić?

Magnolia pokręciła głową.

- To zupełnie niemożliwe. Chyba że przyjdiesz ze swoją ciotką do mojej mamy.

- Wiesz, że nie to miałem na myśli - odparł. - Chcę się z tobą spotkać sam na sam.

- Nigdy nie wolno mi się spotykać z ludźmi sam na sam.

- Wymyślę coś - odrzekł. - Zdaj się na mnie.

Czuła jak jego palce zaciskają się na jej dłoni, a drugą ręką przygarnia ją ku sobie. Potem muzyka się skończyła, a on odprowadził ją do matki.

Nie mogła poświęcić mu kolejnego tańca, gdyż jej karnet był już pełny, lecz ich spojrzenia często krzyżowały się. Magnolia wiedziała, że chce go jeszcze spotkać, z rozpaczą przeczuwała jednak, że to się nigdy nie zdarzy.

Teraz z przerażeniem myślała, że już wie, co jej matka z takim trudem planowała przez ostatnie trzy tygodnie.

Przeczuwała, że dzieje się coś dziwnego, gdy lady Edith Burn wciąż gościła w ich domu, zamykając się z jej matką na poufne rozmowy i, nieoczekiwanie dla Magnolii, zostawiając ją razem z ojcem.

- Och, tato! Tęskniłam za tobą - powiedziała, gdy pierwszego dnia zostali sami.

- Ja też za tobą tęskniłem, kochanie - odparł. Uśmiechnęli się do siebie, a on powiedział radośnie:

- Spójrz, chciałem ci go pokazać. To Boudin, jeden z najpiękniejszych, jakiego kiedykolwiek widziałem. Kupiłem też kolejnego Sisleya.

- Cudownie! - wykrzyknęła Magnolia.

Usiedli razem, zachwycając się blaskiem promieni prześwitujących przez konary drzew i zalaną słońcem plażą, które Boudin oddał doskonale jak nikt inny.

Gdy skończyli dyskusję o malarstwie, weszli na bezkresne pola filozofii, historii i literatury.

- Mam dla ciebie nową francuską powieść - powiedział jej ojciec - lecz nie pozwól, by zobaczyła ją twoja matka.

- Nie, oczywiście, że nie. Poza tym mama nie zna francuskiego - odparła Magnolia.

- Ale mogła słyszeć o Gustawie Moreau, bo wszyscy o nim mówią - twardo rzekł ojciec.

- Schowam ją, jak zwykle. A teraz, tato, chciałabym zadać ci pytanie na temat buddyzmu, bo chyba tylko ty będziesz umiał mi to wyjaśnić.

Szczęśliwi, rozmawiali tak aż do wyjścia lady Edith, która wróciła i następnego dnia, i za dwa dni.

Teraz Magnolia myślała, że powinna się domyślić, iż dzieje się coś niezwykle ważnego.

Książę Otterburn! Kto to jest?

Odsunęła ręce od twarzy, by spojrzeć na połamane i sponiewierane konwalie, które jej matka zostawiła na dywanie.

Pomyślała, że symbolizują jej własne uczucia, jej przyszłość.

Bała się jak nigdy dotąd, więc musiała odszukać swego ojca.

Zbiegła po schodach do pracowni i na szczęście, znalazła go oglądającego kolejne obrazy, które jeden z marszandów, nigdy nie zaniedbujący tak bogatego klienta, zostawił mu do obejrzenia.

Początkowo nie zdawał sobie sprawy z jej obecności, lecz gdy się odwrócił by sprawdzić, kto śmie mu przeszkadzać, zarzuciła mu ręce na szyję i ukryła twarz na jego ramieniu.

Czuł, że drży na całym ciele i po chwili rzekł cicho:

- Pewnie matka już ci powiedziała.

- Nie mogę... tato, nie mogę... tego zrobić! Nie mogę... wyjść za człowieka, którego nie... nie widziałam i... nie kocham.

To był płacz dziecka i pan Vandevilt przytulił ją mocniej, mówiąc:

- Moje kochanie, bałem się, że będziesz smutna.

- Tato... musisz... musisz mnie ocalić. Wiesz, że... mama mnie nie posłucha, jeśli... powiem, że... że nie wyjdę za niego.

Ojciec pocałował ją w czoło. Potem odrzekł:

- Chodź tu i usiądź. Chciałbym z tobą porozmawiać, kochanie.

Zdziwił ją jego ton. Zawsze byli sobie tacy bliscy, bo rozumiał ją jak nikt inny, więc spodziewała się, iż obieca porozmawiać z matką.

Zamiast tego poprowadził ją do sofy i oboje usiedli.

- Tato, musisz mnie uratować! - nalegała. - Wiem, że nigdy nie... nie sprzeciwiałeś się mamie i... zawsze pozwalałeś jej... robić, co chciała... ale zrozum, ona... nigdy nie pojmie, że... że ja wcale nie chcę zostać... księżną, tylko że... że chcę wyjść za człowieka, którego... kocham.

Pomyślała o niebieskookim mężczyźnie, który zeszłej nocy spoglądał w jej oczy, i zniżając głos, dodała:

- Myślę, że... wczorajszego wieczora, na... na balu poznałam... kogoś, kogo mogłabym pokochać. .. gdyby... gdyby wolno mi było... spotykać się z nim.

Ojciec westchnął, ale nie odzywał się, więc Magnolia powiedziała:

- Co mam zrobić, tato? Jeśli ty mi nie... nie pomożesz, mama... zmusi mnie do zrobienia tej... potwornej, ohydnej rzeczy! Poza tym dlaczego księżę ma... ma mnie chcieć, skoro... nigdy mnie nie widział?

Mówiąc te słowa, już znała na nie odpowiedź..

Nie interesowało jej to, ale na lunchach i kolacjach, na które uczęszczała, gdy dorosła, towarzyskie rozmowy skupiały się wokół plotek o tym, czyja córka zdobyła najlepszą małżeńską partię.

Choć nie wzbudziło to najmniejszego zainteresowania samej Magnolii, pamiętała doskonale zamęt, jaki powstał, gdy Jenny Jerome, z dobrze znanej rodziny, wyszła za angielskiego lorda o nazwisku Randolph Churchill.

Jeszcze większe zamieszanie spowodowała Consuela Ienaga z 26 Avenue, gdy została księżną Manchesteru.

Magnolia zdawała sobie sprawę, że matki mające córki w tym wieku co ona, stosowały przeróżne sztuczki, by znaleźć dla swych pociech jak najbardziej utytułowanego kawalera.

Jedna z matron wydała nawet bal na cześć włoskiego księcia, który właśnie przyjechał do kraju.

Damy, które nie miały w rękawie lepszych kart niż podejrzany hrabia czy teksański magnat naftowy, aż pozieleniały z zazdrości.

Przedtem Magnolia nie zaprzętała sobie tym głowy, lecz teraz wszystkie te sceny powróciły jej złowroźnie na myśl.

Zrozumiała, że jeśli jej matka wyciągnie z rękawa księcia jak magik zająca z kapelusza, zwycięży w zawodach.

- Nie, tato... nie zrobię tego! - rzekła z pasją. - Ucieknę... albo raczej... ty mnie stąd zabierz. Schowamy się i... i mama... nas nie znajdzie.

Przy tych słowach złożyła razem ręce i zamarła, gdy ojciec odparł grobowym tonem:

- Wiesz, kochanie, że to niemożliwe i że któregoś dnia musisz wyjść za mąż.

- Tak, wiem - zgodziła się Magnolia - ale chcę wyjść za kogoś, kogo ja... wybiorę i kogo... pokocham, tak jak w tych historiach, które opowiadałeś mi w dzieciństwie.

W oczach jej ojca odbijał się olbrzymi smutek, gdy odpowiedział:

- Bardzo bym chciał, lecz, Magnolio, jesteś dość inteligentna, by stawić czoło faktom. Gdzie miałabyś spotkać takiego człowieka?

- Myślę, że... może... może spotkałam go... ubiegłej nocy.

Zapadła cisza, a po chwili jej ojciec odparł:

- Widziałem jak tańczyłaś z mężczyzną, którego masz na myśli.

- Tato, jeśli go znasz, proszę, opowiedz mi o nim - ożywiła się Magnolia.

- Gwarantuję ci, że to młody, atrakcyjny Anglik - odparł jej ojciec. - Rozmawiałem z nim później tego wieczora. Dowiedziałem się, że zabiegał, by go mnie przedstawiono. Miał nadzieję, że dzięki temu znowu zobaczy się z tobą.

- Och... tatku!

Zarówno ten okrzyk, jak i błysk podniecenia w oczach Magnolii były bardzo wyraziste.

- Jednak było tam i wielu ludzi, którzy mówili o tym, dlaczego pan Eric Dinsdale przybył do Ameryki.

W głosie jej ojca zabrzmiała nuta, która kazała Magnolii baczniej na niego spojrzeć, a on kontynuował:

- Jest tu, kochanie, by znaleźć bogatą żonę! Po tych słowach Magnolia czuła, jakby jej serce upadło na ziemię i rozpadło się na tysiące kawałków. Ojciec mówił dalej:

- Choć zawsze uważałem to za błąd, nie spotykałaś, kochanie, wielu młodych mężczyzn, więc teraz trudno ci będzie oddzielić ziarno od plew.

- I ty... ty myślisz - powiedziała Magnolia zmienionym głosem - że on... zainteresował się mną tylko... tylko dlatego, że jestem... bogata?

- Jestem niemal pewien - odparł jej ojciec - że zainteresował się tobą, ponieważ jesteś tak piękna, iż nie

widział na balu żadnej dziewczyny poza tobą, lecz równocześnie rozmyślał, jak to dobrze, że osoba, która go zafascynowała i którą tak łatwo oczarował, może być także żyłą złota!

Magnolia stłumiła płacz i zerwała się na równe nogi.

- Dla ciebie... wszystko jest okropne i... brudne - wybuchła. - Jak... jak mam zaufać któremukolwiek mężczyźnie, skoro... widzą tylko moje pieniądze zamiast... mnie?

Gdy wypowiadała ostatnie słowa, głos jej się załamał, a ojciec wziął ją za rękę i pociągnął, by usiadła przy nim na sofie.

Otoczył ją ramieniem, a ona, po chwili wahania, jak w dzieciństwie, oparła mu głowę na ramieniu.

- A teraz posłuchaj - powiedział cicho - każdy jest, w pewien sposób, upośledzony przez życie.

Wiedział, że Magnolia bacznie mu się przysłuchuje, więc zapytał:

- Zastanawiałaś się kiedyś, jak by to było, gdybyś urodziła się kaleka albo niewidoma? Albo, choć nie byłoby w tym twojej winy, odziedziczyłabyś jakąś nieuleczalną chorobę?

Magnolia mruknęła cicho, ale nie przerywała mu, więc mógł mówić dalej:

- Pieniądze mogą być zaszczytem i wygodą. Mogą być też kalectwem. Dlatego musisz przywyknąć do nich, tak jak niewidomy ćwiczy pozostałe zmysły, by zastąpiły mu utracony wzrok, a głuchy uczy się czytać z ruchu warg.

- Rozumiem, o czym... o czym mówisz, tato. Lecz chyba... gdzieś na świecie... gdzieś musi być człowiek, który... pokocha mnie dla... mnie samej?

Ojciec uśmiechnął się.

- Magnolio, wielu będzie się w tobie kochać i nie mam wątpliwości, że wcześniej czy później ty też się zakochasz. Lecz w świecie, w którym przyszło ci żyć, dziewczyna, by móc być wolną do grobowej deski, musi wyjść za mąż!

- Ale... to przecież tylko zmiana nadzorcy z ojca i matki na męża - odparła Magnolia.

Gdy to mówiła, pomyślała, że jej matka bez wątplenia nie podlegała jakiegokolwiek kontroli i wybierała przyjaciół spośród mężczyzn i kobiet, a jej mąż nie ingerował w to.

Wtedy przyszło jej na myśl, że na przyjęciach u matki damy rozmawiały też o romansach w nowojorskich kręgach.

Mimo, że w obecności dziewcząt bardzo starannie dobierały słowa, Magnolia była dość bystra, by dostrzec aluzje w ich wypowiedziach.

Wiedziała, że zarówno bohater, jak i bohaterka tych opowieści byli małżonkami, ale nie zajmowała się tym, bo nie zdawała sobie sprawy, że ich romans, jeśli w ogóle istniał, był tajemnicą.

Przypomniała sobie, że wiele mówiono o romansie księcia Walii z Lily Langtry.

Ona była aktorką, która szturmem zdobyła Amerykę, w pewien niezrozumiały sposób pozostając przy tym damą, i była akceptowana przez wiele nowojorskich matron, choć jej matka do nich nie należała.

Głośno zaś powiedziała:

- Tato, twierdzisz, że... tak jak każe mama, powinnam... powinnam wyjść za księcia, chociaż... wcale go nie znam... nie wspominając już o miłości?

- Twierdę, że to niedobrze, iż nie przyjedzie do Nowego Jorku, aby się z tobą spotkać - odparł ojciec. - Jeśli byłoby to w mojej mocy, przyrzekam ci, Magnolio, że powstrzymałbym twoją matkę przed zabraniem cię do Londynu i, tak jak to powinno być, twój ślub odbyłby się tutaj.

- Pozwolisz... pozwolisz, by mama mi to zrobiła? - krzyknęła Magnolia. - Tato... jak możesz?

- Wątpię, by moje słowa mogły tu cokolwiek zmienić - szczerze wyznał jej ojciec. - Moim zdaniem, kochanie, to jedyne wyjście i musisz się z tym pogodzić.

Magnolia podniosła głowę z jego ramienia.

- Ja nie wiem... nie wiem, o czym mówisz, tato. Ja... nie rozumiem.

- Więc pozwól, że ci wyjaśnię - ojciec, wziął ją za rękę. - Nie muszę ci mówić, bo sama o tym wiesz, że jesteś jedną z najbogatszych dziedziczek w Ameryce. Nie tylko moja fortuna, ale i fortuna twojej matki przejdzie na ciebie po naszej śmierci, nie wspominając o okazałym spadku po twojej babce. W miarę jak dorastałaś, ta suma urosła do niebotycznych rozmiarów.

- Wiem - odpowiedziała Magnolia.

- To oznacza, że jesteś celem każdego łowcy spadków z Ameryki, Anglii, Europy i z tego co wiem, nawet z Republiki Mongolii!

Magnolia nie potrafiła powstrzymać uśmiechu, który cisnął się jej na usta, ale nie przerywała i ojciec mówił dalej:

- W tych warunkach żaden przyzwoity mężczyzna nie będzie miał odwagi poprosić cię o rękę.

Magnolia wyglądała na zaskoczoną, a ojciec kontynuował:

- To prawda i musisz się z tym pogodzić. Większość mężczyzn nie toleruje sytuacji, gdy ich żony są bardziej zamożne od nich. Angielski dżentelmen wolałby uciąć sobie rękę niż zostać oskarżonym o złowienie posagu.

- To znaczy - powiedziała słabym głosem Magnolia - że... nikt, jak to nazwałeś „przyzwoity” nie... nie poprosi mnie... o rękę?

- Powiedzmy, że jest to tak niewielka szansa, że nie warto o tym wspominać - odparł ojciec. - Dlatego musisz stawić czoło alternatywie.

- Jakiej alternatywie?

- Jeśli masz się sprzedać, a w gruncie rzeczy do tego to się sprowadza, równie dobrze możesz przyjąć propozycję matki i sięgnąć wyżej!

- Po księcia! - wzgardliwie wykrzyknęła Magnolia.

- Szczerze mówiąc - odrzekł jej ojciec - słyszałem, że chciała dla ciebie księcia z królewskiego rodu, choć nie wiem, czy znalazłby się w Europie odpowiedni i na dodatek wolny. Lecz angielski książę to prawie to samo. Królowie, do których dotarła, chcieli zmieszać swą krew tylko z krwią królewską!

Jej ojciec powiedział to w tak zabawny sposób, że wbrew sobie Magnolia zaśmiała się cicho.

- Tato... ty sobie kpisz - powiedziała z pretensją - a... a mi wcale nie jest do śmiechu.

- Wiem, najdroższa - odparł ojciec - i ponieważ zdawałem sobie sprawę, że twoja matka rozważa tę możliwość od chwili powrotu do Nowego Jorku lady Edith Burn, zrobiłem mały wywiad dotyczący księcia Otterburn.

- I czego się dowiedziałeś, tato?

- Że nie spodziewał się, iż odziedziczy tytuł, ponieważ miał starszego brata. Że zrobił w armii błyskotliwą karierę i mocno stał na własnych nogach, gdy spadł na niego tytuł księcia Otterburn, a wraz z nim masa długów.

- Które... ja mam spłacić - ostrym tonem wtrąciła Magnolia.

- Sądzę, że w przeciwnym razie książę nie zdecydowałby się na ślub z Amerykanką.

- Nie zdecydowałby się? Co to znaczy?

- To znaczy - odparł jej ojciec - iż nadęci angielscy arystokraci uważają, że czynią nam przysługę pozwalając,

byśmy wsparli ich sypiące się, przedpotopowe domy i zmodernizowali przestarzałe farmy w zamian za to, że nasze córki będą mogły przechadzać się w ich nadgryzionych zębem czasu koronach.

Teraz Magnolia wybuchnęła pięknie brzmiącym, perlistym śmiechem.

Nagle radość zniknęła jej z twarzy, gdy powiedziała:

- Lecz... księżę ma zostać... moim mężem. Podejrzewam, że... nie mógłbyś... zapłacić mu, by... zrobił to co powinien i... pozwolił mi zostać z... z tobą.

- Niestety, kochanie, to nie byłoby najszcześniejsze rozwiązanie. Twoja matka jest gotowa na wszystko, byle móc się chełpić faktem, iż jej córka jest księżną!

- To znaczy, tato... próbujesz powiedzieć mi, że... jeśli to nie będzie ten księżę... to znajdzie innego?

- Właśnie! - przytaknął jej ojciec. - Mimo że wydaje mi się, iż jest on nieco lepszym kandydatem niż pozostali, nad którymi twoja matka się zastanawiała od chwili, gdy ukończyłaś szkołę, i że wypowiadam się o człowieku, którego nigdy nie widziałem, a który nie ma dość przyzwoitości, aby przepłynąć Atlantyk, by spotkać swą narzeczoną, śmiem jedynie powiedzieć, że mogłaś trafić gorzej!

- Och, tato!

I znowu było to łkanie dziecka, któremu odebrano poczucie bezpieczeństwa.

Pierwszy raz, odkąd weszła do pracowni, w oczach Magnolii zakręciły się łzy.

Popatrzyła na ojca i powiedziała łamiącym się głosem:

- Myślałam, że... że mnie uratujesz... że przeciwstawisz się... mamie i... wymyślisz jakiś wspaniały sposób, bym mogła zostać z tobą... Nie chcę wyjść za... wstrętnego... potwornego... łowcę posagów, któremu wszystko jedno, czy...

jestem czarna... biała... czy żółta, czy... mam zajęczą wargę, czy... zdeformowane ciało... byłem bym była... bogata!

- To nie jest do końca prawda - odrzekł ojciec. - Lady Edith musiała mu opowiedzieć, jaka jesteś piękna.

Gdy łzy wciąż płynęły po twarzy jego córki, pan Vandevilt przytulił ją i powiedział ochrypłym głosem, który ledwo rozpoznała:

- Nie płacz, kochanie. Nie zniosę tego, i tak jest mi ciężko. Czy wyobrażasz sobie moje życie bez ciebie? Wiesz, jak mi będzie cię brakowało?

Słyszając cierpienie w jego głosie, Magnolia wybuchnęła płaczem i szlochała bezsilnie jak wtedy, gdy była dzieckiem.

- Tato... to... to... takie trudne.

Gdy zrozumiał, jak bardzo ją zasmucił, zmusił się, by już innym tonem powiedzieć:

- Teraz mogę przepłynąć Atlantyk w dziewięć dni i obiecuję, że jeśli twój mąż mnie zaprosi, będę spędzał z wami sporo czasu w ciągu roku. A swoją drogą mam nadzieję, że księżę ma kilka wspaniałych obrazów.

Dławiąc łzy, Magnolia powiedziała:

- Jeśli ma... na pewno je... sprzeda.

- Prawdopodobnie nie może - odparł pan Vandevilt - Lecz z obrazami czy bez, obiecuję ci, kochanie, że będę teraz stałym gościem w Anglii, bo nie chcę cię utracić.

Magnolia podniosła głowę.

Wyglądała pięknie, mimo iż długie, ciemne rzęsy były mokre, a po jej policzkach płynęły łzy.

Spoglądając na nią, ojciec pomyślał, że jest taka śliczna, że to nie tylko złe, ale wręcz potworne, iż musiała zostać sprzedana na towarzyskim rynku matrymonialnym mężczyźnie, którego interesowało jej konto w banku, a nie ona sama jako kobieta.

Aż nazbyt dobrze wiedział, że to, co powiedział Magnolii, było prawdą.

Było co prawda kilku mężczyzn, których chętnie przyjąłby na zięciów, a którzy rozważyliby poślubienie tak bogatej osoby jak Magnolia.

Inni cieszyli się tak złą sławą że nie mógł znieść myśli, iż jego córka mogłaby doznać upokorzenia, jakie niesie ze sobą takie małżeństwo.

Pewien włoski książę zasłynął ze swych wybryków po ślubie z amerykańską dziedziczką i stał się tematem plotek Nowego Jorku, a pan Vandevilt był zadowolony, że Magnolia o nim nie usłyszała.

Wyliczono, że przez siedem lat małżeństwa, książę roztrwonił pięć milionów dolarów z majątku swej żony.

Wydawał je na gry, kobiety wszelkich sfer i narodowości, na jachty, domy i fajerwerki, na tancerki, muzyków i cały ocean drinków.

W Ameryce i w Europie, na całym świecie, te ekstrawagancje uczyniły księcia sławnym, podczas gdy jego żona, do której należały pieniądze, stała się rzadko rozpoznawanym, a najczęściej pomijanym, cieniem.

Taki los nie może spotkać Magnolii, przyrzekł sobie pan Vandevilt.

Równocześnie, gdy słuchał podobnych historii, narastał w nim lęk.

Kiedy jego żona poświęcała się czemuś całym sercem, nikt i nic nie mogło jej powstrzymać przed uzyskaniem tego, co chciała.

Pan Vandevilt, który wiele podróżował po Europie, wiedział, że angielski dżentelmen w zasadzie odnosi się z szacunkiem do swej żony. Cechuje go także wrodzona niechęć do popularności i skandali, więc najczęściej postępuje ostrożnie.

Co więcej, wśród arystokracji utrwalilo się przekonanie, że ich obowiązkiem jest opieka nad poddanymi. Zajmowali się więc starymi pensjonariuszami i zubożałymi krewnymi, przytułkami i sierocińcami, i włączali do tego swe żony.

Nie ma wyboru - trzeźwo, z inteligencją, która była wszystkim w jego życiu, pomyślał pan Vandevilt, oceniając przyszłość swej córki.

W gruncie rzeczy wolał Brytyjczyka, a jego córka, którą kochał i która była zbyt mądra i wrażliwa dla kawalerów z nowojorskiego towarzystwa, mogła, tak jak jej powiedział, trafić gorzej niż na angielskiego dżentelmena.

Magnolia podniosła się z sofy i przeszła przez pokój do miejsca, gdzie wisiał pierwszy obraz Sisleya jej ojca, a światło padające od okna wydawało się odbijać w płótnie.

Stała spoglądając na niego i czuła, jakby sięgała ku czemuś tak cudownemu, a zarazem nieosiągalnemu, że nie potrafiła tego nazwać.

Uczucie to było tak silne, że czuła, iż jej dusza się unosi, a cała nagromadzona w jej ciele energia budzi się do życia. Wydawało jej się, że tajemnice wszechświata są w zasięgu jej ręki. To było jak światło, o którym opowiadał jej ojciec, a które jaśniało w Grecji - światło bogów.

Objawienie przyszło do Greków ze światłem, splendory i chwałą, o których myśleli, rozszerzały się, by rozlać tę jasność po świecie.

Tego właśnie zawsze szukała - światła, które kazałoby człowiekowi myśleć, a myślenie to początek bóstwa.

Po chwili, jakby nawet czar Sisleya nie potrafił oderwać jej od teraźniejszości, łzy znów napłynęły jej do oczu i podbiegła do ojca zarzucając mu ręce na szyję.

- Och, tato... pomóż... pomóż mi! Jak mogę... żyć z myślą, że... to, co... robię, jest... złe?

Rozdział 3

- Jaśnie panie, lady Edith Burn! - oznajmił lokaj i książe, który siedział na krześle w swym gabinecie czytając gazetę, podniósł się.

Weszła kuzynka, jak zwykle modnie i niezwykle elegancko ubrana, lecz zanim zdążyła się odezwać, z wyrazu jej twarzy wyczytał, iż pojawiły się komplikacje.

- Nie mogę uwierzyć! Katastrofa za katastrofą! - wykrzyknęła.

Książę wyciągnął rękę.

- Co jeszcze poszło nie tak? - zapytał.

Ponieważ kategorycznie i wyraźnie odmówił wyjazdu, lady Edith pojechała do Southampton na spotkanie weselnego orszaku, składającego się z pani i pana Vandeviltów oraz Magnolii.

- Seldonie, jak możesz być taki niegrzeczny? - zapytała wtedy kuzynka.

- Mam dosyć zajęć tutaj - odparł książę. - Poza tym nie zamierzam sterczeć na nabrzeżu i czekać na statek, który może przy płynąć i za kilka dni.

- Kto mógł przypuszczać, że sztorm na Atlantyku pokrzyżuje wszystkie nasze plany? - jęknęła lady Edith.

- Może bogowie są po mojej stronie i chcą odwlec dzień ślubu - cynicznie odrzekł książę.

- Seldonie! Doprawdy! - prychnęła lady Edith. - Tylko utrudniasz sprawę! Co się dzieje z tobą i z panią Vandevilt?! Szkoda, że w ogóle się za to wzięłam.

- Właśnie! - szczerze przyznał książę. Lady Edith westchnęła z oburzeniem.

Dosyć trudności sprawiło jej samo przekonanie księcia, że jedynym sposobem uratowania zamku, posiadłości i wszystkich ludzi polegających na nim, był ślub z Magnolią Vandevilt.

Jeszcze więcej kłopotów przyniosło wy tłumaczenie pani Vandevilt, że zaślubiny powinny odbyć się w Anglii.

Pani Vandevilt życzyła sobie naprawdę fantastycznej ceremonii, z typowo amerykańskim przepychem, który zaskoczyłby świat. Uważała, że ślub Magnolii w Anglii to nie będzie to samo, że zostanie on pozbawiony publiczności i towarzyskiego rozgłosu.

Lady Edith musiała użyć wszelkich środków perswazji, by zmieniła zdanie i przyjęła nieugiętą decyzję księcia, że nie pozwoli zrobić z tego przedstawienia dla Amerykanów.

- Słyszałem - powiedział kuzynce - o tych karnawałach, jakie Amerykanie urządzą ze ślubów.

Przerwał, by upewnić się, że lady Edith słucha, i mówił dalej:

- Czytałem o setkach gołębi wypuszczanych nad głowami państwa młodych, których obserwował tłum niemal tysiąca ludzi, tłoczących się, by wejść do kościoła i zrywających na pamiątkę kwiaty i wstążki tak, że wreszcie trzeba było wezwać policję.

Ciężko uderzył pięścią w stół, przy którym siedzieli i dodał:

- Jeśli sądzisz, że zgodzę się przejść przez coś takiego za cenę poślubienia choćby i córki Midasa, to się grubo mylisz.

Książę był równie nieugięty co pani Vandevilt i wymagało wielu godzin cierplivej rozmowy i osobistego uroku lady Edith, zanim Vandeviltowie zgodzili się wreszcie wyjechać z Nowego Jorku.

Spodziewano się, że przybiją do Southampton tydzień temu, lecz niespodziewanie na oceanie rozpułała się burza i najpierw powiadomiono o trzech, a potem o czterech dniach opóźnienia.

Wreszcie statek, choć z uszkodzonym kadłubem, mnóstwem zniszczonych sprzętów i kilkoma rannymi

pasażerami na pokładzie, przybił do portu. Lady Edith usiadła i, zrzuciwszy owinięte wokół szyi sobole, opowiedziała, co zaszło, i dodała:

- Jedną, z ofiar jest pan Vandevilt!

- Wypadł za burzę? - zapytał książę.

- Nie, oczywiście, że nie! Nie było aż tak źle! - odparła lady Edith. - Lecz ma złamaną nogę, więc musieliśmy zabrać go do Londynu na noszach i dlatego nie przyjechałam wczoraj, tak jak miałam zamiar.

- Zastanawiałem się, co cię zatrzymało - odparł książę tonem, który nie pozostawiał wątpliwości, że wcale się tym nie zmartwił.

- Na razie zatrzymali się w Savoyu - mówiła dalej lady Edith. - Zajęli całe piętro. Udało mi się sprowadzić do pana Vandevilta sir Horacego Deakina, który, jak wiesz, jest jednym z lekarzy królowej. On przywiózł jeszcze dwie pielęgniarki i obiecał, że pan Vandevilt stanie na nogi w ciągu miesiąca.

Wydawało się, że spojrzenie księcia się wypogodziło.

- Czy to znaczy, że ślub zostanie przełożony?

- Nie, nie znaczy! - odparła lady Edith. - Pani Vandevilt postanowiła, że wszystko będzie przebiegało tak, jak ustaliliśmy przed ich wyjazdem.

Wiedziała, że to rozzłościłoby księcia, więc nie dodała, że stanie się tak, ponieważ pani Vandevilt opłaciła podróż reporterów z kilku najważniejszych nowojorskich dzienników.

Przyłączyli się tym samym statkiem i było oczywiste, że nie zostaną w Anglii dłużej niż to konieczne.

Książę, żądając, by ślub odbył się w Anglii, spodziewał się cichej ceremonii. Lady Edith dawno postanowiła, że nie powinien dowiedzieć się o planach przyszłej teściowej, która nie licząc się z kosztami, zrobiła co w jej mocy, by stał się on sensacją

Na wypadek, gdyby księcia to ciekawiło, lady Edith pośpiesznie wyjaśniła:

- Drogi Seldonie, pani Vandevilt nie miała zamiaru wikłać twoich planów i dlatego, tak jak to zostało ustalone, przyjedzie z Magnolią do Farringtonów jutro po południu.

Lady Edith, słynąca z taktu, postanowiła, że nie wypada, by Vandeviltowie zatrzymali się w zamku przed ślubem. Poza tym pomyślała, że im krócej książe będzie się widział z panią Vandevilt, tym lepiej.

Dlatego umówiła się ze skoligaconym z nimi poprzez małżeństwo, lordem Farringtonem, że zaprosi Vandeviltów do siebie, gdyż od niego bez trudu dotrą do zamku w ciągu godziny.

Książe odparł cynicznie:

- Jestem pewien, że skoro dom Williama jest bardziej wygodny niż mój, pani Vandevilt będzie zadowolona z warunków, jakie jej zaproponowałam. Lady Edith rzekła na to:

- Myślałam, że się zgodzisz, iż w tych okolicznościach William Farrington powinien poprowadzić Magnolię do ołtarza. Ona jest oczywiście bardzo przygnębiona faktem, że nie może tego zrobić jej ojciec.

- Uważam, że w tej sytuacji wolałaby poczekać, aż wyzdrowieje na tyle, by podjąć się tej istotnej roli.

- To niemożliwe, nie można wszystkiego zmienić w ostatniej chwili - odparła lady Edith. - Poza tym myślę, że twoi dzierżawcy i pracownicy czekają na zabawę.

Jedynie, na co książe łaskawie przystał, to uczynienie zadość tradycji, wedle której powinno się odbyć przyjęcie dla wszystkich osób zatrudnionych w posiadłości i dla dzierżawców.

To zaś równało się z zamówieniem beczek piwa i tutejszego, młodego jabłecznego wina.

Zamkowi kucharze przygotowali zgodny ze zwyczajem jadłospis nie wyłączając dziczego łba, pieczonej wołowiny i szynki przyprawianych według starych przepisów, przekazywanych z pokolenia na pokolenie.

Książę doskonale wiedział, że przełożenie daty ślubu wywołałoby wiele zamieszania.

Co najmniej sześćset gości już przyjęło wysłane przez lady Edith zaproszenia, które wraz z nią przygotowywał sekretarz wynajęty z biura pana Fossilwaithe'a.

Gromadzone w galerii obrazów prezenty wypełniły ją po brzegi tak, że lady Edith zaczęła się zastanawiać, czy starczy miejsca dla tej masy, którą pani Vandevilt bez wątpienia przywiozła ze sobą z Ameryki.

Książę, zaskoczony, ledwie rzucił okiem na podarunki.

- Nigdy nie spotkałem tych ludzi albo nie widziałem ich od dzieciństwa - rzekł - więc nie mam pojęcia, czemu chcą wydać na mnie aż tyle pieniędzy.

Lady Edith roześmiała się.

- Seldomie, jesteś bardzo naiwny. Przecież musisz wiedzieć, że książęcy ślub to, po pierwsze, niezwykła rozrywka w raczej nudnym miejscowym świątku, po drugie, fakt, że w przyszłości będziesz mógł szastać pieniędzmi jak twój ojciec, nie umknął niczyjej uwagi.

Książę spochmurniał.

- Jeśli uważasz, że zamierzam wyrzucać pieniądze mojej żony tak bezsensownie jak ojciec wyrzucał swoje, to bardzo się mylisz!

Mówił ze złością lecz lady Edith tylko się roześmiała.

- Oczywiście, że niczego podobnego nie sugeruję - powiedziała. - Jednak wydaje mi się, że twoim sąsiadom brakuje przyjęć, czasem mało wyszukanych zabaw, które wyprawiał twój ojciec, ilekroć bawił w domu.

- Nie będzie żadnych przyjęć - kategorycznie odrzekł książę - żadnych, przynajmniej dopóki długi nie zostaną spłacone, a dachy na domach farmerów, pensjonariuszy i pracowników naprawione.

- Twoja żona też będzie miała coś do powiedzenia! - odparła lady Edith.

Chciała go jedynie wyprowadzić z tego ponurego nastroju, lecz gdy tylko zdążyła to powiedzieć i zdała sobie sprawę ze swego nietaktu, on wydał policzki i zacisnął usta.

Żałował jak nigdy dotąd, że będzie winien wdzięczność swej żonie i to na dodatek Amerykance!

Gdy w grę wchodził mężczyzna, lady Edith była przebiegła jak lis i celowo nie chwaliła Magnolii ani nie rozwodziła się nad jej urodą.

Sam się przekona, pomyślała, spodziewając się, że wzbudzi tym ciekawość księcia.

Zamiast tego, w miarę upływu czasu, gdy przez ocean płynęły listy i telegramy z poleceniami, żądaniem i informacjami, lady Edith widziała, że książę izolował się od tego za coraz trudniejszym do pokonania murem.

Wydrukowana w prasie wiadomość o jego zaręczynach jeszcze pogorszyła sprawę i lady Edith wiedziała, że on celowo unika spotkań, zasłaniając się natłokiem pracy.

Jednakże tak jak i on rozumiała, że nic poza małżeństwem nie rozwiąże pozostawionych mu przez ojca problemów.

Teraz, gdy książę podał jej szklaneczkę whisky, z wdzięcznością wypila i powiedziała:

- Jestem zmęczona ostatnimi wydarzeniami. Wiedz, iż masz wiele szczęścia, że nie znalazłeś się na moim miejscu.

- Przykro mi, ale nie mogę powiedzieć „dziękuję” z większą wdzięcznością - odparł książę, a lady Edith pomyślała, że on ma urok, który czyni go bardzo atrakcyjnym mężczyzną.

- Mnie również jest przykro, że przed ślubem nie poznaś pana Vandevilta - powiedziała. - To inteligentny i przemyśły człowiek, i bez wątpienia od razu polubilibyście się.

Przy tych słowach pomyślała, że jego obecność na pewno złagodziłaby wrażenie, jakie na swym przyszłym zięciu niewątpliwie wywrze pani Vandevilt.

Po wypadku męża przybyła ona do Southampton w fatalnym nastroju, a choroba morska, która dopadła ją podczas sztormu, nie poprawiła jej humoru.

Po pierwsze, zażądała pociągu, który zawiózłby jej niedysponowanego męża, ją samą, Magnolię, górę bagaży i armię służących do Londynu.

Gdy okazało się, że to niemożliwe w tak krótkim czasie, i gdy musieli się zadowolić wagonem pierwszej klasy, lady Edith odniosła wrażenie, że jest on zatłoczony.

Nawet jej, przywykłej do towarzystwa zamożnych Amerykanów, nie mieściło się w głowie, że troje ludzi będzie potrzebować tyle bagaży na dziewięciodniową podróż morską.

Byli z nimi nie tylko posłaniec, sekretarze i ich asystenci, mający się zająć zorganizowaniem wszystkiego, ale i dwie pokojówki, po jednej dla pani Vandevilt i Magnolii, i dwóch kamerdynerów jej męża.

Poza tym lady Edith zauważyła czterech czy więcej ludzi z osobistej ochrony, będących na każde skinienie członków rodziny, i kilku młodzieńców, którzy, jak sądziła, byli dziennikarzami i fotoreporterami.

Kiedy dotarli do Savoyu, okazało się, że mieszczący się na dwóch ciężarówkach bagaż zawierał nie tylko ogromną ilość prezentów, ale i luksusowe przedmioty, które dla każdego amerykańskiego milionera okazywały się niezbędne w podróży.

Prywatna bielizna pościelowa pani Vandevilt, kilka sreber, a obok nich dywaniki pod stopy i gronostajowa narzuta na łóżko - wszystko to przebyło z nimi Atlantyck.

Lady Edith chciała opowiedzieć księciu, jak ją to ubawiło, ale stwierdziła, że mogłoby go to zirytować, więc postanowiła zachować te informacje dla siebie. Zamiast tego powiedziała:

- Żal mi Magnolii. Uwielbia ojca i szczerze mówiąc jest bardzo przygnębiona nie tylko jego wypadkiem, ale i tym, że nie będzie mógł wziąć udziału w ceremonii.

I znowu książe ściągnął usta, ale milczał, więc lady Edith mówiła dalej:

- Oczywiście, poznasz ją jutro na rodzinnej kolacji, którą zorganizowałam przed ślubem. Będzie nas zaledwie trzydziścioro, a właściwie dwadzieścioro dziewięcioro, skoro pan Vandevilt nie będzie mógł przyjść.

- Fossilwaithe powiadomił mnie - odezwał się książe - że tuż po przyjeździe Vandeviltów otrzymał list wzywający go do Londynu. Sądzę, że w takim razie nie będą mieli czasu, by się z nim spotkać przed wyjazdem z miasta do Farringtonów.

- Nie martw się - odrzekła lady Edith. - Widziałam pana Fossilwaithe'a w Savoyu. Miał przygotowane do podpisu papiery i zamierzał czekać, aż pan Vandevilt albo jego żona zechcą go przyjąć.

- Przypuszczam - powiedział po krótkiej chwili książe - że powinienem być zadowolony, iż ma głowę do interesów, ale, Edith, nawet teraz chodzi mi po głowie myśl, by to wszystko odwołać.

Lady Edith krzyknęła stłumionym głosem.

- Jeśli choćby spróbujesz, w życiu się do ciebie nie odezwę! - odparła. - Wyrobienie takich stosunków zabrało mi lata życia i jeśli to teraz zniszczysz, chyba cię zabiję!

- Być może śmierć byłaby lepsza od tortur, jakie dla mnie przyszykowałaś! - rzekł książe.

Starał się nadać głosowi ton beztroski, ale wbrew niemu samemu, zabrzmiała w nim nuta powagi. Lady Edith westchnęła.

- Seldonie, nie możemy przerabiać tego od początku. Chyba że podczas mojego pobytu w Southampton znalazłeś w zielniku bryłę złota albo że żwir na podjeździe nagle zmienił się w diamenty! Potrzebujesz milionów Vandeviltów, tak jak oni potrzebują twojej korony. To uczciwa transakcja.

- Dobrze, że tak uważasz - odrzekł nieustępliwie książę.

- Jestem zbyt zmęczona, aby się kłócić - powiedziała lady Edith. - Idę na górę, żeby się położyć. Spotkamy się na kolacji. Kto jeszcze przyjedzie?

Książę wymienił imiona kilku bardziej szacownych członków rodziny, którzy zjadą ze wszystkich stron Anglii, by czuwać nad nimi.

Dlatego to oni jako pierwsi ujrzą dziedziczkę, której grube miliony odmienią los ich wszystkich.

Równocześnie książę doskonale wiedział, że żadne z nich nie będzie choć w najmniejszym stopniu wdzięczne Magnolii za to, że zapełni pieniędzmi rodzinny skarbiec.

Zamiast tego chętnie skrytykują jego przyszłą żonę, nie szczędząc jej uwag tylko dlatego, że jest wśród nich obca.

Jednocześnie byli zbyt wytrawnymi dyplomatami, by powiedzieć coś, co mogłoby zostać uznane za obrazę.

Tylko że on rozumiał ich postawę i zamiast złościć się, czuł się jeszcze bardziej winny niż przedtem.

- Czy ja jestem człowiekiem czy szczurem? - zapytał.

To pytanie wciąż powracało do niego, gdy zastanawiał się, jak sam mógłby znaleźć pieniądze, zamiast polegać na kobiecie, którą gardził tylko dlatego, że wychodziła za niego dla tytułu.

Podczas jednej z kłótni książę wypomniał lady Edith:

- Jak możesz kazać mi szanować kobietę, która wychodzi nie za mnie jako za mężczyznę, ale ponieważ jestem księciem?

- Nie bądź śmieszny! - odparła kuzynka. - Wiesz równie dobrze jak ja, że sama Magnolia miała tu tyle do powiedzenia, co Angielka, która odrzuciłaby twoje oświadczenia.

Wydawało jej się, że ksiązę jest zaskoczony, więc zmieniła front:

- Seldonie, w jakim świecie żyłeś przez te wszystkie lata? Z twoim niewątpliwie atrakcyjnym wyglądem musiałeś poznać wiele kobiet w różnych mrocznych zakątkach świata, gdzie walczyłeś.

Ksiązę uśmiechnął się.

Nie miało sensu tłumaczyć kuzynce, że związki z kobietami, z którymi zadawał się na przepustkach w Smila czy gdziekolwiek indziej, nigdy nic dla niego nie znaczyły.

To były piękne i zakłamanie kokietki, żony żołnierzy, którzy pocili się na skwarnych równinach albo przebywali z misją specjalną w innej części kraju.

Dlatego jego flirty często były nęcące i pełne ognistej namiętności, ale zdecydowanie stanowiły tylko przerywnik dla zdyscyplinowanego, pełnego niebezpieczeństw życia i nie nauczyły go rozumienia zwyczajów i sposobu myślenia młodych dziewcząt.

Spoglądając wstecz nie mógł sobie przypomnieć, by choć raz rozmawiał z taką osobą.

Cynicznie pomyślał, że teraz, jeśli niczym gorszym, to latami nieustającej nudy zapłaci za uzyskane poprzez małżeństwo pieniądze.

- Bóg jeden wie, o czym rozmawiać z osiemnastolatką - mruzczał do siebie podczas bezsennych nocy, gdy rozmyślał o przyszłości.

Miejsce podniecających perspektyw zajęły w jego życiu mrok i pustka.

Wiedział, że całymi dniami będzie pracował nad doprowadzeniem posiadłości do świetności, której chyba nigdy nie uda mu się osiągnąć, a podwładni będą oczekiwali jego dowództwa, jak hinduscy żołnierze służący pod nim w Indiach.

Jednego był pewien: jeśli przyjdzie mu cieszyć się urokami życia, oni będą się bawić wraz z nim.

Niemal przeraził się, gdy tuż przed przybyciem Vandeviltów do Anglii lady Edith powiedziała:

- Pani Vandevilt jest bardzo ciekawa, dokąd zabierzesz Magnolię na miodowy miesiąc.

- Miodowy miesiąc? - głucho powtórzył książę.

- Będziesz musiał to zaplanować - odparła lady Edith - a wszyscy będą rozczarowani, jeśli nie pojedziecie za granicę.

- Nie pomyślałem o tym - prosto przyznał książę. - Tyle jest do zrobienia na miejscu.

- Moglibyście się wybrać na południe Francji, a willa twojego ojca będzie doskonałym miejscem na rozpoczęcie podróży.

- Willa mojego ojca? - zapytał książę.

- Pan Fossilwaithe musiał ci powiedzieć, że dwa lata przed śmiercią twój ojciec kupił willę w małej Beaulieu, niedaleko Nicei. Mam nadzieję, że jest bardzo piękna, bo musiał na nią wydać dużo pieniędzy.

- Nie miałem pojęcia.

Książę ledwie pamiętał, że na długiej liście wydatków znalazły się i zakupy we Francji, ale rozważając inne wydatki, nie zwrócił na nie uwagi.

Ulegając namowom lady Edith, posłał po pana Fossilwaithe'a, który, ku jego zdziwieniu, powiedział, że jego

ojciec kupił we Francji nie tylko willę, ale i jacht zacumowany w pobliskim porcie w Villefranche.

Jacht ojca wraz z pełnym ekwipunkiem stanowiły kosztowny wydatek, który umknął ich uwagi między innymi ekstrawagancjami.

Księżę, gdy tylko dowiedział się o swych nowych nabytkach, zdał relację lady Edith, dodając:

- Zamierzam sprzedać i willę, i jacht. Lady Edith gwałtownie zaprotestowała.

- Na Boga! - zawołała. - Poczekaj do podróży poślubnej!

- Po co?

- Z tego prostego powodu, że pani Vandevilt życzyła sobie, by Magnolia zaczęła swe małżeńskie życie właśnie na południu Francji, żeby ona mogła się chwalić: „Moja córka, księżna, spędza miesiąc miodowy w południowej Francji, gdzie mój zięć ma nie tylko willę, ale i jacht, który, gdy będą się nudzić, zabierze ich w romantyczne miejsca, na przykład do Grecji.”

Lady Edith parodiowała nie tylko ton głosu, ale i amerykański akcent pani Vandevilt i księżę mimowolnie parsknął śmiechem.

Już chciał powiedzieć, że nie ma zamiaru spędzić miesiąca miodowego z kobietą, której nigdy nie widział i którą gardzi, gdy przyszło mu do głowy, że z przyjemnością, choć na krótki czas, stanie się właścicielem jachtu.

Potem pomyślał, że w ten sposób łatwiej będzie mu znieść milczenie, które, przypuszczał, będzie towarzyszyło jemu i żonie podczas posiłków, pustkę restauracyjnych kolacji czy, jeszcze gorszych, samotnych wieczorów przy pustym stole w jadalni.

- Oczywiście - powiedział głośno. - Pani Vandevilt i jej córka nie mogą być zawiedzione. Dowiedz się, jaka to willa,

czy jest odpowiednio duża i dostojna, i lepiej zapytaj Fossilwaithe'a o tonaż jachtu, bo ja na pewno zapomnę.

Zgodnie z oczekiwaniami lady Edith, w liście pani Vandevilt z niemałym entuzjazmem odniosła się do tak zaplanowanego miesiąca miodowego i dodała, że kupiła córce wiele nowych strojów, a kilka z nich, utrzymanych w marynarskim stylu, Magnolia będzie mogła założyć na łodzi.

Czytając go, lady Edith pomyślała, że to dobrze, iż księżę nie przegląda kolumn towarzyskich w amerykańskich gazetach, które bez wątpienia rozpisywały się o bardziej pieprznych szczegółach mariażu Vandevilt - Otterburn.

Gdy lady Edith poszła na górę, księżę opuścił zamek wyjściem prowadzącym do ogrodu i poszedł nad jezioro.

Ilekroć musiał dyskutować o małżeństwie, czuł, że rozpaczliwie brakuje mu powietrza i się dusi.

Mimo ciepłego dnia powietrze było ostre, tak jak tego potrzebował.

Chciał poczuć chłód, ostry chłód, by zabić przeczucie, że zamyka się wokół niego klatka z kosztownych, egzotycznych przedmiotów, których wartość przelicza się tylko na pieniądze.

Potem przyszła dzika myśl, że podobają mu się zamkowe niewygody: instalacje, które choć na zewnątrz tego nie widać, wymagają naprawy, walące się ściany, wilgotne i poplamione sufity.

Wiedział, że potrzeba pieniędzy na utrzymanie ogrodów i powiedział sobie, że im szybciej staną się zapuszczonym gajem, tym lepiej.

Jednocześnie przypomniał sobie, że za miesiąc czy dwa wróci stary Briggs, który usługiwał jego ojcu i dziadkowi przez ponad czterdzieści lat i księżę był zadowolony, że będzie mógł wypłacić mu przyzwoitą pensję i oddać wygodny domek, gdzie starzec dożyje swych dni.

- Jestem cholernym niewdzięcznikiem - skrytykował sam siebie.

Równocześnie wydawało mu się, że to upokarzające i zbyt ostentacyjne.

Jego kuzynka Edith miała rację, twierdząc, że idealizuje kobiety. Jednak zderzenie z rzeczywistością nie dotknęło go aż do teraz, gdyż w żołnierskim życiu takie ideały nie miały większego znaczenia.

Wtedy myślał, że gdy się ożeni, będzie traktował swą żonę z szacunkiem, i samo to postanowienie było rycerskie. Wierzył, że każda kobieta powinna być ochraniana, podziwiana i kierowana przez mężczyznę, co w Anglii oznaczało oczywiście, że po prostu była od niego zależna.

Lecz niesamowicie bogata Amerykanka to ktoś inny niż Angielka, która musi prosić męża o kieszonkowe i z wdzięcznością przyjmować każdy wydany na nią grosz.

Stąd wynika, że na gwiazdkę czy na urodziny będą kupować mojej żonie prezenty za jej własne pieniądze - pomyślał z goryczą. - Będę spełniał toast za jej zdrowie winem, za które ona zapłaci i organizował przyjęcia, które nie będą niczym szczególnym, dopóki ona nie otworzy swej szkatułki, by je sfinansować.

Czuł, że nadeszła chwila, gdy miał ochotę coś rozwalić.

Nie ma sensu wspominać, że zgodnie z literą prawa, w chwili gdy staną się małżeństwem, pieniądze Magnolii Vandevilt staną się i jego pieniędzmi.

Jednak on wiedział, że zawsze będzie mu ciążył myśl, iż jeśli wytknie żonie błąd albo nie będzie się z nią zgadzał, zawsze będzie mogła powiedzieć:

- To za moje pieniądze żyjemy w twoim zamku; moimi pieniędzmi płacimy prowadzącym go służącym; z moich pieniędzy utrzymujemy konie i to za moje pieniądze bawią się twoi przyjaciele.

Takie myśli prześladowały go dniami i nocami i rozumiejąc, że w ten czy inny sposób musi pokonać swe uczucia, książkę obrócił się na pięcie i ruszył w stronę stajni.

Czuł, że tylko galopując teraz do upadłego, zdoła zasnąć tej nocy.

W sypialni hotelu Savoy, z oknami wychodzącymi na nabrzeża i Tamizę, która teraz, gdy po drugiej stronie zapalały się światła, nabrała niemal bajkowego uroku, Magnolia, ściskając w dłoni rękę ojca, pytała go:

- Tato, jak się czujesz?

- Nieźle - odparł ojciec. - Wydaje mi się, że chirurg polecony nam przez lady Edith, poprawił nieco ułożenie nogi. Powiedział, że to nie jest bardzo groźne złamanie.

- Tak się cieszę, tato. Jak mogło ci się przytrafić coś tak okropnego?

- Muszę przyznać, że zawsze byłem dumny, iż na wzburzonym morzu potrafiłem stać twardo na nogach - powiedział pan Vandevilt. - Kto mógł przewidzieć, że przy tym sztormie maszt spadnie na mnie i narobi tyle szkód?

Uśmiechnął się, zanim dodał:

- Być może to kara za to, że uważałem się za wytrawnego podróżnika, który nie musi zwracać uwagi na pogodę!

Magnolia zacisnęła palce na jego dłoni.

- Tato... Nie mogę wyjść za mąż... jeśli ciebie tam nie... nie będzie.

- Kochanie, bałem się, że to powiesz - odrzekł pan Vandevilt - lecz nie ma powodu, by rozgniewać twoją matkę, a poza tym, jak zaznaczyła lady Edith, wszystko już zostało przygotowane na zamku.

Zapadła krótka cisza, a po chwili Magnolia powiedziała ledwie słyszalnym głosem:

- Nie... nie stanę przed... księciem bez... ciebie.

Pan Vandevilt położył rękę na głowie córki w geście pocieszenia.

- Kochanie, już o tym rozmawialiśmy - powiedział. - - Obiecuję ci, że nie będzie tak źle, jak przypuszczasz, a ty mi obiecaj, że postarasz się zrobić to, co właściwe.

- Postaram się, tato, ale... to nie będzie... nie będzie... łatwe.

- Uważam, że powinnaś to potraktować jak wyzwanie - odparł pan Vandevilt. - Podjąć je i zwyciężyć!

Magnolia westchnęła ciężko.

- Kocham cię, tato! Gdybyśmy mogli spędzić razem jeszcze... choćby kilka lat.

Przy tych słowach spuściła głowę i dlatego nie dostrzegła nagłego cierpienia w oczach jej ojca.

Obok obrazów, córka była jedyną wartością, jaka liczyła się w jego życiu, jedyną, którą naprawdę kochał. Wiedział, że gdy ją utraci, będzie się czuł, jakby utracił część siebie.

Lecz nie mógł zrobić nic poza przekonaniem jej, by wyszła za mężczyznę, którego wybrała dla niej matka, i modlitwą, by nie cierpiała tak, jak cierpią inne kobiety w tak zaaranżowanych związkach.

Często gościł we Francji i wiedział, że małżeństwa zaprzyjaźnionych z nim Francuzów, to w większości małżeństwa z rozsądku, zawierane ze względu na korzyści płynące dla obu stron.

W większości przypadków były to niezwykle udane związki, w których jeśli małżonków nie łączyła doskonała, idealna miłość, o jakiej marzyła Magnolia, to przynajmniej istniało pomiędzy nimi przyjacielskie porozumienie, gdyż w towarzystwie, gdzie przestrzegano tradycyjnych i religijnych zasad, nie zezwalało na rozwody.

Dla Magnolii nie to byłoby problemem, bo w Ameryce rozwody były dozwolone.

Jednocześnie pan Vandevilt wiedział, że gdy chodziło o książęcą parę w Anglii, musiałby to zatwierdzić parlament, a książę nigdy nie zgodziłby się na podobny skandal.

Chcąc ukoić, a równocześnie dać Magnolii wsparcie, którego tak potrzebowała, powiedział:

- Posłuchaj mnie, kochanie. Gdy rozmawialiśmy o religiach Wschodu, a zwłaszcza o buddyzmie, wspólnie zgodziliśmy się z tezą, że dostaniesz od życia tyle, ile mu dasz.

Magnolia uniosła głowę, by na niego spojrzeć, a gdy zauważył, że słucha, mówił dalej:

- Jeżeli pragniesz miłości, musisz ofiarować miłość; jeśli nienawidzisz, otrzymasz w zamian nienawiść. To niepisane prawo obowiązuje na całym świecie, wśród wszystkich nacji, w każdej kulturze i w każdym wyznaniu.

- Wiem, tato, co chcesz powiedzieć - odparła Magnolia. - Prosisz, bym pokochała nieznanego mężczyznę, który chce tylko moich pieniędzy. Dam mu, czego pragnie, lecz chyba nie ma sensu proponować więcej?

Na ustach pana Vandevilta pojawił się mdły uśmiech, gdy odpowiedział:

- Kochanie, to byłby bardzo rozsądny argument, gdybym nie wiedział, że specjalnie próbujesz zbić mnie z tropu. Powiem więc wprost: postaraj się, by twój mąż cię pokochał, a wtedy ty łatwiej pokochasz jego.

Z wyrazu twarzy Magnolii wyczytał, że według niej nigdy do tego nie dojdzie, więc stara się uciec od tej myśli.

Nie chciał jej bardziej naciskać i dlatego dodał jedynie:

- Miłość to dziwna rzecz. Przychodzi, gdy najmniej się tego spodziewasz albo wyrasta z małego, przeoczonego nasionka olbrzymia i potężna. Lecz pamiętaj...

Tu przerwał, a po chwili mówił dalej:

- Wszyscy pragniemy i potrzebujemy w życiu miłości i gdy ją wreszcie znajdziemy, warta jest całego bólu, poświęceń i cierpień, jakie nam zadaje.

Powiedział to głębokim, poruszającym tonem, a gdy Magnolia nie odzywała się, spostrzegł, że płacze.

Rozdział 4

Gdy prywatny pociąg wyruszył w stronę Londynu, książę pomyślał, że to był najbardziej koszmarny, najgorszy dzień w jego życiu.

Nie oczekiwał, że własny ślub będzie dla niego przyjemnością, ale nie przyszło mu do głowy, że będzie to powód, by zaciskać zęby z wściekłości.

Wszystko zaczęło się poprzedniej nocy, gdy parobek z posiadłości lorda Farringtona przyniósł informację, że plany Vandeviltów uległy zmianie.

Ostatecznie pan Vandevilt postanowił przyjechać wraz ze swą żoną i córką prywatnym pociągiem, który, ustalono, zatrzyma się na stacji, położonej najbliżej domu lorda Farringtona.

List powiadał też księcia, że godzina kolacji będzie musiała zostać przesunięta, ponieważ goście eskortowani przez lorda Farringtona nie dotrą do zamku przed dziewiątą.

Księcia zirytowała ta informacja, gdyż inni krewni, którzy zatrzymali się w sąsiedztwie, nie dowiedzą się o zmianie godziny, przyjadą do zamku tuż przed ósmą i przyjdzie im długo czekać na amerykańskie towarzystwo.

Choć lady Edith podejrzewała, że powodem tych zmian była Magnolia, która nie chciała przyjechać bez ojca, nie powiedziała tego głośno.

Z drugiej strony z ulgą pomyślała, iż gdy książę pozna pana Vandevilta i tak jak ona, odnajdzie w nim uroczego człowieka, nie będzie narażony na wyłączone towarzystwo jego apodyktycznej żony.

Lecz nawet ten plan się nie powiódł.

Ciężar podróży kosztował pana Vandevilta tyle cierpienia, że nie był on w stanie zdobyć się na taki wysiłek, by zaraz po przyjeździe do rezydencji lorda Farringtona, wybrać się w

niemal godziną podróż do zamku i uczestniczyć w przyjęciu, gdzie będzie wiele nie znanych mu osób.

Dlatego, ku przerażeniu lady Edith i złości księcia, ani pan Vandevilt, ani jego córka nie przyjechali na kolację.

- Hamlet bez księcia - gorzko skomentowała to lady Edith w obecności jednego czy dwóch swych krewnych, którzy, jak przewidywał książę, szykowali się na krytykę narzeczonej.

Wkładając wartą fortunę suknię sprowadzoną z Paryża, pani Vandevilt popełniła błąd, bo chcąc zrobić wrażenie, nie zdawała sobie sprawy, że dla przywiązanych do tradycji Anglików, jej ubiór będzie wyglądał pretensjonalnie, a nawet niestosownie.

Strój, który miała na sobie, bardziej pasował na salę balową albo scenę teatralną, a na dodatek założyła olbrzymie diamenty, które połyskiwały jej we włosach, mieniły się na szyi i na dopasowanym gorscie sukni.

Przeguby jej dłoni były obwieszane bransoletami, na palcach błyszczały pierścionki i dla księcia uosabiała wszystko, czemu zaprzedał swój tytuł i siebie.

Nie pozostało mu jednak nic innego, jak zdobyć się na nadludzki wysiłek, by uprzejmie odnosić się do przyszłej teściowej i starać się nie dostrzegać, jak jej bystre oczy taksowały każdy element zamku, który wymagał wkładu jej pieniędzy.

Później książę pomyślał, że jeśli chodziło o pozostałych gości, to poza ilością szampana, którą wypili w oczekiwaniu na podopiecznych lorda Farringtona, wieczór był udany.

Gdy wreszcie to, co okazało się bardzo późną kolacją dobiegło końca i panowie poprowadzili damy do salonu, mieszkający dalej od pałacu krewni zaczęli się żegnać.

- Seldonie, spodziewam się poznać jutro twoją przyszłą żonę - w taki czy nieco inny sposób zwracali się do księcia.

Z niezadowoleniem dostrzegł w ich głosie ledwie uchwytną nutę współczucia. |

Gdy damy przeszły do salonu, a panowie sączyli swe porto, lady Edith miała okazję wspomnieć o dominującej naturze pani Vandevilt.

Zamiast odnosić się do starszych członkiń rodziny z należytych szacunkiem, ona jak zwykle próbowała wyrzucić na nich wrażenie chełpliwie opowiadając o bogactwach i posiadłościach męża, o niezachwianej pozycji Vandeviltów w Nowym Jorku i o fortunie, jaką Magnolia wniosła do rodziny.

Wyszła, nie pozostawiając cienia wątpliwości, kto zapłacił za remonty w zamku i w posiadłości, i za długi zaciągnięte przez starego księcia.

Nie tylko syn, ale i krewni wstydzieli się jego rozrzutności i fakt, że wytykała im to obca osoba, jeszcze pogorszył sprawę.

Dopiero gdy za panią Vandevilt zamknęły się drzwi i powóz lorda Farringtona zabrał ją z zamku, lady Edith odetchnęła z ulgą.

Po minie księcia poznała, jak się czuł i nie miała ochoty wdawać się z nim w dyskusję.

- Padam z nóg, a jutro czeka nas kolejny, męczący dzień - powiedziała. - Idę prosto do łóżka. Dobranoc, Seldonie.

- Dobranoc, Edith!

Odszedł, nie mówiąc więcej ani słowa, a ona, po tonie jego głosu poznała, że pogrążył się w czarnej rozpacz.

I faktycznie, długo siedział w bibliotece, zanim poszedł się położyć, a i wtedy nie mógł zasnąć.

Gdy wreszcie zapadł w płytki sen, otaczający jego problemy cienką mgłą obudziły go jakieś głosy, stukot młotków i hałas krzątania.

Przeszło mu przez myśl, że to złodzieje próbują ukraść prezenty.

Potem pomyślał, że żaden szanujący się włamywacz nie robiłby tyle zamieszania, które zwróciłoby uwagę domowników, aż zaczął sobie przypominać, iż lady Edith mówiła mu, że prywatnym pociągiem, który przywiózł Vandeviltów z Londynu, przyjechały i prezenty, które skoro świt miały dotrzeć do zamku.

Księżę spojrział na zegar stojący przy łóżku - dochodziła piąta. Przeszło mu przez myśl, że pracownicy Vandeviltów zaczynają pracę wcześniej niż ich angielscy koledzy.

Gdy nie mogąc odpoczywać, a tym bardziej spać w takim harmidrze, wstał, ze zdumieniem zobaczył, jak cała armia ludzi szturmuje zamek, a gang robotników wznosi w ogrodzie coś na kształt korony ułożonej z kwiatów.

Pomyślał, że Vandeviltowie zupełnie niepotrzebnie układają dodatkowe kwiaty, bo te, które tam rosły, wyglądały wyjątkowo pięknie w swym naturalnym otoczeniu.

Lecz powiedział sobie, że nie powinien niczego krytykować ani zmieniać ustaleń jego przyszłych krewnych.

Jednocześnie ze złością pomyślał, że powinni byli to z nim ustalić.

Przed pokojami, w których miała odbyć się ceremonia i na środku murawy, gdzie, jeśli będzie sprzyjająca pogoda, goście mieli spacerować i rozmawiać, ustawiono altany z kwiatów.

Lecz z czasem gromadziło się coraz więcej irytujących spraw.

Zbyt późno, by to odwołać, księżę odkrył, że do gospody Tithe, gdzie on wcześniej polecił podawać robotnikom i farmerom piwo i wino jabłkowe, przewieziono niewiarygodne ilości szampana.

Księżę nie był w stanie zapłacić za tak kosztowny dodatek do menu, a równocześnie wiedział, że większość tych ludzi, nieprzywykłych do takiego trunku, niepotrzebnie się upije.

Był także zaskoczony, gdy w zamku znalazł, zamówione przez panią Vandevilt, olbrzymie girlandy kwiatów zawieszane na głównych schodach.

Większość pokoi, gdzie miało się odbyć przyjęcie, wprost spływała białymi kwiatami, które zasłaniały nawet obrazy i meble.

Ubierając się, pomyślał, że być może ostatni raz zakłada mundur.

To pogłębiło jego smutek, bo wciąż odkładał wysłanie formalnej rezygnacji, mając nadzieję, że ślub nie dojdzie do skutku, a on będzie mógł pozostać żołnierzem.

Teraz życie, które sobie wybrał, zamykało się przed nim na zawsze, a przyszłość nie jawiła się w jasnych barwach.

Gdy księżę ujrzał fotoreporterów i dziennikarzy, którzy, wedle jego własnych słów „czaili się w każdym kacie, w każdym zakamarku domu”, przebrała się miara.

- Co, u diabła, robią tu ci wszyscy ludzie? - stanowczym tonem zapytał lady Edith, lecz jej odpowiedź nie poprawiła mu nastroju.

- Bałam się, Seldonie, że będziesz zły.

- Zły?! - księżę niemal krzyczał. - Czy ty wiesz, że przed chwilą znalazłem dwóch z nich w moim łóżku?! I jeszcze zapytali mnie, czy to tu mam zamiar spać z moją żoną!

- Przykro mi, Seldonie.

- Tylko tyle?! - naciskał księżę. - Poinformowali mnie, że przyjechali z Nowego Jorku na zaproszenie pani Vandevilt. Powiedziałem im, co o nich myślę, a oni zapisali to w swoich notatnikach!

- Obawiam się, że pani Vandevilt chce rozgłosu wokół tego ślubu - potulnie odparła lady Edith - ale jestem pewna, że nic z tych rzeczy nie przedostanie się do angielskich dzienników.

Książę popatrzył na nią, jakby nagle zabrakło mu słów. Potem rzekł:

- Niedobrze mi się robi. Nalegałem na ślub w Anglii, aby uniknąć tej wulgarności, która poniża zarówno mnie, jak i moją rodzinę.

- Zgadzam się z tobą - odparła lady Edith - i mogę tylko powtórzyć, że jest mi bardzo przykro. Przysięgam, że nie miałam pojęcia, iż pani Vandevilt przywiezie ze sobą dziennikarzy aż tutaj.

Książę westchnął i wyszedł z pokoju. Lady Edith wyjrzała przez okno i z niepokojem patrzyła na robotników zebranych na murawie. Miała powody do zmartwienia.

Gdy państwo młodzi skończyli przyjmować życzenia od gości, których długa kolejka ciągnęła się od korytarza, przez salon aż do ogrodu, nadszedł czas na apogeum fatalnego dla księcia popołudnia.

Ponieważ był piękny dzień, a gości przyjechało więcej niż się spodziewali, lady Edith w ostatniej chwili zarządziła, by weselny tort, a raczej torty, przenieść z jadalni do ogrodu.

Sam ten fakt zirytował księcia, lecz gdy ujrzał wypiek, który pani Vandevilt przywiozła z Nowego Jorku, lady Edith z trudem powstrzymała go, by nie zrzucił go na ziemię.

Kucharze pracowali w zamku dniem i nocą, by przygotować ciasta, jakie zawsze zdobiły rodzinne wesela. Tort miał trzy warstwy i wykonany był według starej receptury, a starannie położona mrożona pianka imitowała rodzinny herb - uniesioną dłoń dzierżącą miecz. Ten sam herb dokładnie wymodelowano w lukrze pokrywającym wierzchnią warstwę. Książę gorąco podziękował kucharzom, gdy mu to pokazali i ku ich zadowoleniu powiedział, że taka praca to dzieło sztuki, które żal będzie zniszczyć.

- Z równą rozkoszą je zjedzą, paniczu Seldonie, hm, to znaczy... jaśnie panie! - odrzekł najstarszy z nich, który był na zamku od przeszło czterdziestu lat.

Książę uśmiechnął się i wiedząc, że wszyscy kucharze cieszą się z jego komplementów, obiecał, że postara się sam skosztować.

Później, gdy udał się do ogrodu, by wedle tradycji rozkroić go swym mieczem, ujrzał czekający na niego i jego żonę nie tylko tort pochodzący z zamku, ale i drugi, który uznał za szczyt kiczu i w pierwszym odruchu miał ochotę zniszczyć.

Musiał jednak pokroić oba torty i nie pocieszała go myśl, że ten amerykański wzbudza większe zainteresowanie jego gości.

Działo się tak, ponieważ był zbudowany nie z trzech, ale z siedmiu warstw, a podstawę miał tak wielką jak koło od powozu.

Oczywiście, w dekoracji składającej się z umieszczonej tam na szczęście końskiej podkowy, wiązanki białych wrzosów i masy srebrzystych dzwoneczków, nie było cienia dobrego gustu. Nad tym wszystkim górowały dwie kukielki, z których jedna, wydawało się księciu, była cała w diamentach, a drugą ubrano w coś, co stanowiło parodię żołnierskiego munduru.

Gdy pokrojono już torty i każdy z gości otrzymał swoją porcję, mistrz ceremonii, którego książę wcześniej nie zauważył, i który musiał tu przybyć na polecenie pani Vandevilt, poprosił o uwagę.

Nosowym głosem, mówiąc z amerykańskim akcentem, wzniósł toast za panią i pana młodego.

Kiedy wszyscy zgodnie wznieśli kieliszki, nastąpił nagły wybuch, od którego zadrżały szyby w pałacowych oknach. Stojąca na murawie altana z róz otworzyła się, a w powietrze

wzbił się ogromny ptak, z którego posypało się na gości dziesięć tysięcy czerwonych róż.

Zamieszanie i okrzyki przerażenia kilku starszych osób przerodziły się w szmer, który według księcia był pomrukiem pogardy wobec przedstawienia urządzonego dla rozgłosu.

Zauważył poruszenie w gronie fotografów, trzymających swe aparaty, i dziennikarzy z ich notesami i zrozumiał, że cokolwiek mówiła lady Edith, bez wątpienia znajdzie się to w nagłówkach zarówno angielskich, jak i amerykańskich gazet.

Tylko lata dyscypliny powstrzymały księcia przed wyrażeniem swojej opinii na temat tak prostackich pomysłów.

Gdy księżę i jego żona, obsypani kwiatami dostarczonymi przez panią Vandevilt, odjechali wreszcie z zaniku w otwartej karecie, zaprzężonej w konie, które przyozdobiono różanymi girlandami, miał wrażenie, że przeszedł przez piekło poniżenia, którego nigdy nie zapomni.

Lecz koszmar się jeszcze nie zakończył, gdyż droga na stację prowadziła przez małą wioskę należącą do posiadłości, gdzie przejechali pod łukiem ozdobionym tkaninami, kwiatami i flagami.

Kareta musiała się zatrzymać, bo księżę odbierał życzenia od najstarszego mieszkańca wioski, a Magnolia otrzymała bukiet kwiatów od małego dziecka, które w ostatniej chwili nie chciało go oddać.

Gdy dotarli na stację, tak jak księżę się spodziewał, na zewnątrz czekał na nich tłum gapiów, a budynek był przesadnie udekorowany.

- Miejmy nadzieję, że to ostatnie spotkanie, które musimy znieść - powiedział szorstko.

Zdał sobie sprawę, że od opuszczenia zamku, po raz pierwszy odezwał się do swojej żony.

Szczerze mówiąc, nie przyjrzał się jej ani wtedy, gdy dołączyła do niego przy ołtarzu, ani gdy przez krótką chwilę szli razem z kościoła na zamek.

Świątynia stała tak blisko, że śmiesznie byłoby jechać tam powozem w tak piękny dzień, więc książę mając Magnolię u swego boku, zwawo szedł wyżwirowaną drogą, którą, z nie znanych mu powodów, przykryto czerwonym dywanem.

Dopiero gdy żona nie mogła dotrzymać mu kroku, zauważył jej karykaturalnie długi tren, niesiony przez trzech małych paziów, ubranych w atlasowe stroje dworskie z epoki Ludwika XIV.

Tren był najwyraźniej zbyt ciężki dla chłopców i matki dwóch z nich pomagały im podnieść go z ziemi.

Książę podejrzewał, że te dzieci, w których matkach rozpoznał swe krewne, zostały przyprowadzone przez lady Edith.

Nie podobał mu się niewątpliwie amerykański tren, który tak zwalniał ich pochód, tak jak nie podobało mu się wszystko inne, co zmieniło prostą ceremonię ślubną w coś zupełnie przeciwnego.

Na przykład, jak podejrzewał, na życzenie pani Vandevilt, sakramentu udzielał im biskup w asyście czterech innych duchownych.

W małym kościele zebrało się przy ołtarzu stanowczo zbyt wielu księży, a w stallach dla chóru tłoczył się zespół sprowadzony z Londynu, by wspomóc miejscowych wieśniaków, którzy zawsze występowali na ślubach i pogrzebach.

Nawet ich anielski śpiew nie zmienił książęcego odczucia, że jego ślub zamieniono w cyrkową arenę.

Prezbiterium wypełniały ogromne kompozycje z lilii, a do każdej ławki przyczepiono bukiet kwiatów wraz z długą

wstążką, której końce w efektowny, teatralny sposób spływały na podłogę.

Dotarli do stacji i książę pomyślał, że mógł się spodziewać iż mały, niewiele większy niż sama stacja przy zamku, peron będzie przykryty czerwonym dywanem, wejście ozdobią wazony pełne lilii, a w kwietnej bramie pojawią się amerykańscy fotoreporterzy i cała masa dziennikarzy.

Opadli nowożeńców jak rój os. Posypał się na nich grad pytań, a jego żona, co wydawało mu się wyjątkową impertynencją próbowała odpowiadać słabym, jakby przestraszonym głosem.

Na szczęście prywatny pociąg, który przywiózł Vandeviltów z Londynu, już na nich czekał, więc książę popchnął Magnolię poprzez tłum fotoreporterów, wprost do przedziału, polecając kamerdynerowi, by nikt im nie przeszkadzał.

Drzwi zostały zamknięte, ale kamery i twarze ich prześladowców wciąż tkwiły w oknach.

Książę wskazał miejsca w odległej od nich części wagonu.

- Proponuję - powiedział - byśmy tu usiedli i odwrócili się do nich plecami. Wtedy nic nie będą mogli zrobić.

Magnolia bez słowa wypełniła jego polecenie. Wreszcie, gdy pociąg ruszył, a tłum uśmiechów i machających rak pozostał na stacji, książę odetchnął z ulgą.

Dopiero wtedy, dając upust uczuciom, jakie targały nim przez cały dzień, wybuchnął:

- Nigdy w życiu nie przypuszczałem, że stanę się bohaterem tak odrażającego i prostackiego przedstawienia!

Wstał i wyszedł z pomieszczenia, służącego za salon, by znaleźć przedział, gdzie mógłby zostać sam.

Nie poprawił mu humoru fakt, że pociąg był znacznie większy, niż się spodziewał, i że wielu fotoreporterów i dziennikarzy towarzyszyło im w podróży.

Wiedząc, że każde wypowiedziane przez niego słowo zostanie zapisane i znajdzie się w gazetach, nie miał zamiaru spotykać się z nimi i dlatego czym prędzej wrócił do przedziału, z którego przed chwilą wyszedł.

Zauważył, że żona wyglądała przez okno, lecz ujrzawszy go, szybko otworzyła gazetę.

Nie próbował nawet zająć fotela obok czy naprzeciwko niej, lecz usiadł po przeciwnej stronie przedziału i również wziął do ręki dziennik.

Przez chwilę jechali w milczeniu, ale zaraz wszedł steward, proponując im jedzenie i napoje.

Książę uświadomił sobie, że niezależnie od tego, co myślał o gustach swej żony i jej matki, musiał się zachowywać w cywilizowany sposób.

Z panem Vandevilem, który tuż przed ceremonią ślubną przybył na zamek powozem lorda Farringtona, książę miał okazję zamienić jedynie kilka słów.

Spokojny, pełen kultury głos, brak obcego akcentu, przystojny wygląd i sposób powitania z przyszłym zięciem, podpowiedziały księciu, że oto trafił na człowieka godnego sympatii i szacunku.

Książę zawsze szczyił się trafnością ocen spotykanych ludzi i w chwili, gdy poznał pana Vandevila, wiedział, że jest on przeciwieństwem swej żony.

Niestety, nie było już czasu na rozmowę, bo gdy tylko przybył, zabrano go powozem do kościoła, gdzie przyglądał się jak, zastępujący go lord Farrington prowadzi jego córkę do ołtarza.

Teraz, gdy steward ustawił przed Magnolią stół i obok herbaty, o którą najwyraźniej prosiła, położył na nim kanapki i ciasteczka, książę przemierzył przedział i usiadł naprzeciwko niej.

- Podejrzewam - powiedział, jak miał nadzieję, uprzejmym tonem - że byliśmy jedynymi osobami na przyjęciu, które nie zdażyły nic zjeść ani wypić.

Zapadła krótka cisza, zanim Magnolia odpowiedziała, a że siedziała z opuszczoną głową, książę nie mógł zobaczyć jej twarzy.

W czasie ślubu bał się na nią spojrzeć.

Zeszłej nocy, po odjeździe pani Vandevilt pomyślał, że jeśli jego żona ma być podobna do swej matki, to wolał nie wyobrazić sobie, jakim horrorem będzie jego małżeństwo.

Teraz, zmagając się ze sobą, Magnolia uniosła głowę i książę ujrzał, że ma przed sobą nie taką kobietę, jakiej się obawiał.

Przede wszystkim była wąła, miała szczupłą, delikatną twarz, a uwagę przykuwały jej oczy.

Były ogromne, a książę nie potrafił określić, czy miały kolor niebieski czy szary. Tylko jedno nie ulegało wątpliwości - Magnolia się bała.

Rozszerzone źrenice i ten wyraz twarzy, gdy na niego spoglądała, choć książę sam nie mógł w to uwierzyć, dowodziły niezbicie, że była przerażona.

Po chwili, gdy na niego popatrzyła, w jej oczach zapaliły się płomyki, a długie, ciemne rzęsy zatrzepotały nad bladymi policzkami i ledwie słyszalnym głosem powiedziała:

- Obawiam się, że... że musiałeś być... zły za... za ten wybuch i róże.

Księcia uderzyło, że i jej głos różnił się od jego wyobrażeń - był delikatny i śpiewny, i podobnie jak jej ojca, pozbawiony akcentu.

- To nie powinno się zdarzyć na angielskim ślubie - odparł, zanim zdążył się powstrzymać.

Dopiero gdy te słowa padły, zdał sobie sprawę, że wypowiedział je ostrym tonem, jakby zwracał się do niekarne go żołnierza albo służącego.

- Przepraszam... cię.

I znowu powiedziała to słabym, ledwie słyszalnym głosem.

- Wątpię czy była to twoja wina - odparł, myśląc, że nawet dla niego zabrzmiało to nieco protekcjonalnie.

- Mama... nie powiedziała mi o... o swoich zamiarach, ale... gdy to się stało... widziałam, że... byłeś... zły.

Książę to rozumiał, ale nic, co się stało, nie mogło zostać cofnięte. Doskonale wiedział, że krewni będą to komentować, a sąsiedzi drwić z niego.

Uznał, że teraz, gdy ślub dobiegł końca, nie powinien czynić więcej uwag ani na ten temat, ani wobec innych przedsięwzięć teściowej, więc podniósł kieliszek szampana, który steward bez pytania nappełnił dla niego, i wychylił go.

Zauważył, że choć jego żona wypła odrobinę herbaty, to nic nie zjadła.

Wciąż był zły i wydawało mu się, że nic nie przełknie, jednak zjadł kanapkę z ogórkiem, jakby czując, że zwykła, codzienna czynność może zatrzymać wzbierającą w nim, niepohamowaną złość.

Po chwili uspokoił się na tyle, by rzec:

- Sądzę, że jesteś zmęczona, lecz koleją szybko dotrzemy do Londynu i już koło ósmej powinniśmy być w Otterburn House.

- To bardzo... dobrze.

Magnolia znów pochyliła głowę tak, że książę nie mógł ujrzeć jej twarzy.

Stwierdził, że pewnie jest onieśmielona, ale to musiało być normalne u kobiety wychodzącej za mężczyznę, którego pierwszy raz zobaczyła na ślubnym kobiercu.

Lecz to był jej, a nie jego, wybór i pozostała mu tylko nadzieja, że z czasem jego żona stanie się bardziej rozmowna. Jeśli tak się nie stanie, czeka go straszna przyszłość.

Starał się wymyślić coś, co mogłoby złagodzić napięcie wyczuwalne pomiędzy nimi, lecz stwierdził, że trudno jest przekrzykiwać szum pociągu.

W drzwiach pojawił się steward pytając, czy może podać coś więcej, ale księżę podziękował za kolejny kieliszek szampana. Gdy herbata zniknęła ze stolika Magnolii, księżę wrócił na drugą stronę przedziału.

Podniósł gazetę i próbował ją czytać, lecz uparcie powracała do niego myśl, że jest żonaty i nic już nie może tego cofnąć.

W podróży wydawało mu się, że turkoczące pod nimi koła drwiły z jego rozterek, podpowiadając równocześnie, że oto skończyły się kłopoty finansowe i jeśli nawet żona nie przypadła mu do gustu, to chociaż pozbył się innych problemów.

Dzień chylił się ku zachodowi i księżę czuł, jak opada mu głowa, a nie przespana noc daje się teraz we znaki.

Zamknął oczy, a po chwili obudził się przestraszony, gdy steward powiedział mu nad uchem:

- Jaśnie panie, dojeżdżamy do stacji. Powóz czeka.

Księżę z trudem przypomniał sobie, gdzie jest.

- Dziękuję.

Rozejrzał się po przedziale i ujrzał tył głowy swej żony, która wyglądała przez okno.

Siedziała prosto i księżę pomyślał, że pewnie rozmyśla nad jego obojętnością i brakiem choćby próby rozweselenia jej.

Lecz teraz nie mógł już na to nic poradzić. Po wyjściu stewarda próbował usprawiedliwić się:

- Musisz mi wybaczyć tę drzemkę, ale prawdę mówiąc, nie zmrużyłem oka zeszłej nocy.

- Ja... rozumiem - odparła Magnolia. - Ja... też nie... nie mogłam... zasnąć.

Dzięki temu, że właśnie wjechali na stację i że czekał na nich elegancki zawiadowca w mundurze ze złotymi epoletami i czapce, książę uniknął odpowiedzi.

Po nieco przesadnych życzeniach z okazji ślubu zostali poprowadzeni do czekającego przed głównym wejściem, powozu, który był zaprzężony w należące do jego ojca, wyjątkowo piękne konie.

Małe dziecko, jak książę się dowiedział, córka zawiadowcy, wręczyło Magnolii kolejny bukiet kwiatów, a wielu oficjalnych gości, którzy przyprowadzili i swe żony, aby mogły się przyjrzeć pannie młodej, czekało, by uścisnąć ręce nowożeńców.

Nareszcie zdołali odjechać i książę z ulgą pomyślał, że pozostało im już tylko powitanie ze służbą Otterbum House, które zakończy ten ciąg dowodów sympatii.

- Dostaniemy kolację, gdy tylko będziesz gotowa - powiedział, kiedy wyruszyli ze stacji. - Domyślam się, że twoja pokojówka i mój kamerdyner wyruszyli z naszymi rzeczami wczesnym popołudniem i wszystko powinno już być gotowe na nasz przyjazd.

Magnolia pochyliła głowę, ale nic nie odrzekła, więc książę mówił dalej:

- Jutro musimy wyruszyć skoro świt, żeby zdążyć na prom do Dover.

Pomyślał, że zabrzmiało to jak sugestia, iż obojgu im należy się solidny wypoczynek. Po chwili przypomniał sobie, że to ich noc poślubna.

Czuł, jakby dał się złapać w pułapkę, którą podstępnie zastawiono na niego wraz z informacją o ojcowskich długach, a która teraz się zatrzasnęła, odcinając drogę ucieczki.

W tej samej chwili wzdrygnął się na myśl o konsekwencjach.

Potem powiedział sobie, że cokolwiek miało wyniknąć z tego przerysowanego, okropnego ślubu, on zachowa się jak dżentelmen i zrobi, co do niego należy.

To sentymenty, powtarzał sobie w myśli przebierając się do kolacji, lecz właśnie dzięki nim czuł wdzięczność za kieliszek szampana, którym poczęstowano go, gdy tuż przed dziewiątą zszedł do salonu.

Pokój był przystrojony białymi kwiatami i książkę pomyślał z niezachwianą nadzieją, że już nigdy, póki wygodnie nie spocznie w grobie, nie zobaczy ich w takiej ilości.

Powiedział sobie, że choć on był zdegustowany swoim ślubem, to dla jego żony musiało to być radosne wydarzenie, a on mógł chociaż nie smucić jej swymi odczuciami.

Właśnie o niej myślał, gdy Magnolia weszła do pokoju.

Miała na sobie piękną suknię, choć książkę pomyślał, że zbyt szykowną jak na wieczór spędzany we dwoje.

Miał nadzieję, że za kilka lat przestanie być kopią swej matki, a jeśli będzie miała taki zamiar, on musi zrobić co w jego mocy, by ją powstrzymać.

Gdy się do niego zbliżała, zauważył, że jest o wiele szczuplejsza, niż się spodziewał i poruszała się z niezwykłą dla młodej dziewczyny gracją.

Przyszło mu na myśl, że równie dobrze mogłaby być tancerką i że być może w Ameryce balet jest częścią edukacji młodych dam.

Nie spoglądając wprost na nią powiedział:

- Pomyślałem, że jesteś zmęczona i chętnie wypijesz kieliszek szampana. Dla nas obojga to był bardzo długi dzień.

- Dziękuję... ci.

Wydawało mu się, że głos jej zadrżał, jakby była onieśmielona albo przestraszona.

Przyjęła kieliszek, który jej podał.

Ku swemu zaskoczeniu zauważył, że drżąc na całym ciele, kurczowo zaciska na nim palce, jakby się bała, że może go upuścić albo wylać jego zawartość na podłogę.

- Usiądź - zaproponował. - Musiałaś stać godzinami, przyjmując życzenia nieskończonej liczby gości.

Magnolia posłusznie usiadła.

Gdy piła szampana, spojrział na nią z góry i po raz pierwszy zauważył, że ma tak jasne włosy, jakby prześwitywały przez nie srebrne promyki.

Nigdy nie dostrzegł tego u innej kobiety. Także skóra jej dłoni była niezwykle jasna i gładka.

Zanim miał okazję przyjrzeć się jej twarzy, zaanonsowano kolację i gdy Magnolia wstała, odstawiając kieliszek szampana, podał jej ramię.

Wydawało mu się, że przez chwilę wahala się, nim delikatnie położyła na nim dłoń.

Gdy skierowali się do jadalni, księżę był przekonany, iż ona naprawdę się boi.

Pomyślał, że to dziwne, a potem zastąpił określenie „przestraszona”, innym - „onieśmielona”.

Oczywiście, że była onieśmielona! Każda dziewczyna, która pierwszy raz została sama z mężczyzną którego nigdy przedtem nie spotkała, a którego nazwisko nosiła, byłaby onieśmielona!

Stół jadalny też przybrano białymi kwiatami, ale nie dominowały one już pomiędzy starymi, złotymi kandelabrami i pucharami.

Księżciu przyszło na myśl, że w jego żonie było coś, co Amerykaninowi mogłoby się podobać.

Potem przypomniał sobie zeszły wieczór i rozmowę z panią Vandevilt, gdy jasno dała do zrozumienia, że cokolwiek on posiada, ona i jej mąż mają tego więcej i w lepszym gatunku, ponieważ przeszukali wszystkie sklepy w Europie, by wyposażyć swe domy.

Lady Edith starannie opisała księżciu kolekcję obrazów pana Vandevilta.

Pani Vandevilt nie szczędziła słów, by odtworzyć wygląd posągów, złotych mebli i dywanów, które, jak zapewniała księcia, miały dwa razy dłuższą historię niż jakakolwiek własność rodziny Otterburn.

Pamiętając o tym, zwrócił się do Magnolii:

- Zastanawiałem się... Skoro twój ojciec jest kolekcjonerem obrazów, a twoja matka antyków, czy ty też coś kolekcjonujesz?

Po dłuższej chwili Magnolia powiedziała cicho:

- Jeśli cokolwiek, to... książki.

- Książki? - zapytał książę. - To znaczy białe kruki?

- Nie. Książki, zwykłe książki do czytania.

Zdziwiła go ta odpowiedź, więc zapytał:

- Jaka tematyka cię najbardziej interesuje? Może nowele?

Wydawało mu się, że ujrzał mdły uśmiech na jej twarzy, gdy odpowiedziała:

- Lubię wszystkie książki. To jedyny sposób na... ucieczkę.

- Ucieczkę? Od czego?

- Od... od życia, które... prowadzę. Książę był zaskoczony.

- Przyznam, że nie rozumiem.

- Dlaczego miałbyś rozumieć? Lecz chyba... niewdzięcznością z mojej strony jest tak... myśleć.

- Jak myśleć?
- Że żyję jak... w więzieniu.
- Czy ja dobrze usłyszałem? - zapytał księżę. - Twierdzisz, że jesteś więziona. W domu czy w szkole?
- Magnolia potrząsnęła głową.
- Nie chciałabym zagłębiać się w takie rozważania. Zapytałeś, co zbieram, więc odpowiedziałam, że książki, bo w ten sposób mogę podróżować i odkrywać świat.
- Chcesz powiedzieć, że nie mogłaś tego robić inaczej? - spytał księżę.
- Nie, oczywiście, że nie.
- Dlaczego?
- Bo... bo jestem tym, kim... jestem.
- Pewnie uznasz mnie za tępaka, ale ja wciąż nie rozumiem. Sądziłem, że możesz mieć wszystko, co zechcesz.
- Wydawało mu się, że nie musi dodawać: „z twoim majątkiem”, bo chyba tylko dla głupca nie było to oczywiste.
- Rozmowa o mnie musi być nudna - niespodziewania rzekła Magnolia. - Powiedz mi lepiej o twoim życiu w Indiach. Bardzo bym chciała tam pojechać.
- Ja niedawno stamtąd wyjechałem - odparł księżę. - Powinnaś była odwiedzić je jako młoda dziewczyna i upajać się balami organizowanymi w kantynie jednostki, będąc jedyną kobietą pośród tylu mężczyzn.
- Nigdy nie pozwolono by mi na to! - odpowiedziała Magnolia. - Ja chciałabym zobaczyć w Indiach świątynie i poznać ludzi. Gdy studiowaliśmy z tatą buddyzm, właśnie te miejsca bardzo pragnęłam odwiedzić.
- Studiowałaś buddyzm?
- Czytałam też sporo o hinduizmie, ale buddyzm jest dla mnie bardziej interesujący i użyteczny.
- Użyteczny? W jakim sensie?
- Nauczania się, jak żyć.

Magnolia mówiła prosto, bez egzaltacji. Potem westchnęła cicho i powiedziała:

- Chciałabym, abyś opowiedział mi o Indiach. Książę wiedział, że oczekiwała od niego wywodów o pięknie Taj Mahal, o wyglądzie Red Fort w Delhi, o tłumach pielgrzymów nad Gangesem. Rzekł, jednak:

- Dziwi mnie twoje zainteresowanie buddyzmem. Zawsze uważałem, że jest on pozbawiony emocji i, w pewnym sensie, trudny do zrozumienia. To bardziej męska niż kobieca religia.

Wydawało mu się, że Magnolia uśmiechnęła się, lecz odwróciła od niego twarz, mówiąc:

- To jedynie męski punkt widzenia na temat wszystkich religii, a ja uważam, że kobiety potrzebują świadomości spokoju i przeznaczenia, którego bardzo wiele jest w buddyzmie.

Książę był zaskoczony.

Nigdy nie rozmawiał z kobietą na temat religii Wschodu i bez wątplenia nie spodziewał się, że będzie roztrząsał podobne problemy z młodą dziewczyną i do tego Amerykanką!

- Wiem, że wielu nauczycieli buddyjskich i księży uważa... - zaczął.

Opowiedział jej o ludziach napotkanych podczas jego podróży; ludzi, którzy odkryli w sobie ukrytą siłę; ludzi, którzy przynosili pocieszenie i pokrzepienie jednym dotykem ręk.

Mówił dosyć długo, bo zauważył, że Magnolia słucha go z nagłym zainteresowaniem.

Gdy wreszcie kolacja dobiegła końca i oboje wstali od stołu, poczuł, że ona znowu się boi.

Przeszli do salonu i książę, spoglądając z lekkim zdziwieniem na zegar stojący na kominku, powiedział:

- Robi się późno i twoja pokojówka pewnie już czeka, a ty powinnaś wypocząć. Jak już powiedziałem, wyjeżdżamy jutro skoro świt.

- Tak, to... to bardzo dobry... pomysł - przytaknęła Magnolia.

Dopiero zdążyli wejść do salonu, a już księżę, mając żonę u boku, wyszedł na korytarz.

Magnolia zatrzymała się przy schodach i wydawało mu się, że chce coś powiedzieć. Po chwili bez słowa położyła dłoń na poręczy i odeszła na górę.

Czekał na jej jedno spojrzenie, lecz nie odwróciła się, więc gdy dotarła do szczytu schodów, wrócił do salonu.

Oczekiwał zupełnie innego wieczoru, ale nie potrafił zdecydować, czy rzeczywistość okazała się lepsza czy gorsza.

Wiedział tylko, że teraz darzył żonę cieplejszymi uczuciami niż nienawiść, którą żywił do niej rano.

Potem zrezygnowany powiedział sobie, że przecież wieczór jeszcze się nie skończył.

To była jego noc poślubna, a on był panem młodym.

Wszedł po schodach do swej sypialni, gdzie już czekał na niego kamerdyner. Rozebrawszy się, chcąc powiedzieć coś, co zabrzmiałoby naturalnie, księżę zapytał:

- Jarvis, czy wszystko przygotowałeś na rano?

Szczerze mówiąc, znał odpowiedź, zanim zdążył zadać pytanie.

- Tak, jaśnie panie, bagaże pojedą wcześniej. Muszę tylko spakować rzeczy, których będzie pan używał dzisiejszej nocy.

- To dobrze - odparł księżę. - Chcę uniknąć pośpiechu.

- Oczywiście, jaśnie panie.

- Dobranoc, Jarvis.

- Dobranoc, jaśnie panie.

Kamerdyner wyszedł z pokoju, a księżę, zarzuciwszy długi szlafrok na koszulę nocną, podszedł do okna.

Odsunął zasłony i stał, spoglądając na Hyde Park. Cienie w dole wydawały mu się ciemne i tajemnicze, a niebo powyżej było rozświetlone gwiazdami, aż księżę zateśknił do spaceru, by, tak jak w zamku, mógł wolny i niezależny, przejść się po trawie.

Potem powiedział sobie, że poświęcając wolność, której żałował od chwili, gdy podpisał intercyzę, ocalił zamek. Znaczenie tych wszystkich wydarzeń przerastało go, więc zanurzył się w nienawiści i pogardzie, które zawładnęły nim, gdy ujrzał olbrzymi tort i usłyszał huk wystrzału, wyrzucającego w powietrze deszcz czerwonych róż, które spadły na głowy zaskoczonych gości.

- Czy na angielskim weselu, w angielskim ogrodzie, mogło się wydarzyć coś bardziej niestosownego? - zapytał.

Sam, patrząc na to widowisko, zaciskał palce tak, że kostki boleśnie wbiły mu się w dłonie.

Gdy pani Vandevilt stała przed nim z wyrazem triumfu na twarzy, księżę z największym trudem powstrzymał się przed wyrażeniem swojej opinii na temat tej kobiety i jej pomysłów.

Teraz pomyślał, że skoro zdołał się opanować i postanowił jak dżentelmen wypełnić swą rolę do końca, pozostało mu jeszcze jedno zadanie. Oczekiwano, że wycisnie z siebie siódme poty i spłaci swój dług do końca.

Przez chwilę czuł w skroniach pulsowanie, jakby był rozdarty pomiędzy tym, czego od niego oczekiwano, a tym, co mógł zaoferować.

Lecz nie miał odwrotu.

Było to tak jasne, jakby zapisane w dokumentach, które poświadczył razem z kontrasygnatą państwa Vandeviltów.

Te, które mu wręczono, opiewały na tak ogromną sumę pieniędzy, że zastanawiał się, czy nawet jeśli uzupełni wszystko, co potrzebne jest posiadłości, zamkowi i reszcie

majątku, zdoła wydać choćby dziesiątą część sumy, którą jego żona wniosła w wianie.

Jego żona!

Mimo, że siedział naprzeciwko niej i z nią rozmawiał, nie potrafił przywołać w pamięci wyglądu jej twarzy.

Wydawało mu się, jakby zawsze stała za mgłą, a gdy na niego spoglądała, wiedział, że się boi.

Poza tym zawsze udawało się jej opuścić głowę albo odwrócić od niego. Pomyślał, że profil też miała inny niż się spodziewał.

Mały, delikatny nosek, lekko zaznaczona broda i zaciśnięte usta, które wciąż lekko drżały.

Dlaczego się bała? Czego się bała?

Zawsze uważał, że młode Amerykanki były niezależnymi optymistkami z silnym poczuciem własnej wartości i bardzo różniły się od zahukanych, niezdarnych Angielek, które aż do uroczystej prezentacji nie opuszczały szkolnych murów.

Na pewno musiał się mylić co do przerażenia Magnolii. Może miała dreszcze, ponieważ była chora. Ze stojącymi za nią milionami, nie miała powodów do obaw, chyba że nastąpiłoby załamanie amerykańskiej gospodarki, na co się nie zanosilo.

Myślni błędził daleko stąd i nie miał pojęcia, jak długo tak stał przyglądając się liściom w parku.

Potem jak żołnierz na paradzie, wyprężył ramiona, i wszedł do niewielkiego łącznika pomiędzy sypialniami jego i Magnolii.

Wzdychając z rezygnacją, książkę otworzył drzwi, zrobił kilka kroków i położył dłoń na następnej klamce.

Nacisnął najpierw delikatnie, potem bardziej stanowczo. Drzwi nie drgnęły.

Przyszło mu na myśl, że może służący byli tak głupi, by je zamknąć, tak jak czynili to w przeszłości, gdy za życia jego ojca, sypialnie te służyły jako pokoje gościnne.

Książę wrócił więc do pokoju, by wyjść na korytarz. Po prawej stronie było wejście do sypialni Magnolii.

Nacisnął klamkę, myśląc, że będzie musiał przeprosić za opieszałość swej służby, lecz i te drzwi się nie otworzyły.

Spróbował ponownie, aż upewnił się, że są zamknięte.

Tego się nie spodziewał i przyszło mu teraz na myśl, że być może Magnolia bała się go jako mężczyzny.

Stał przez kilka sekund wpatrując się w drzwi i zastanawiając, co powinien zrobić. Potem, jakby nie mogąc znaleźć odpowiedzi, nie wrócił do sypialni, ale podszedł do głównych schodów.

W korytarzu nikogo nie było, bo od czasów starego księcia istniała w tym domu umowa, że gdy ostatnia osoba udawała się na spoczynek, odźwierny też mógł się położyć.

- Nie wiem, czy jaśnie pan zechce to kontynuować? - pytał z lekkim niepokojem w głosie majordomus.

- Wydaje mi się, że to bardzo rozsądne rozwiązanie - odparł książę. - Nie widzę powodów, by trzymać odźwiernych na nogach przez całą noc. Są tu stróże, prawda?

- Oczywiście, jaśnie panie. Obchodzą dom co godzinę.

- Możesz to ustalić wedle własnego uznania - odparł z uśmiechem książę.

W domu panowała cisza, a książę nie skierował się do salonu, ale wszedł do biblioteki, której drzwi również wychodziły na korytarz.

Światła były wygaszone, ale w blasku świec z wiszących w korytarzu kinkietów, widział drogę do biurka.

Zapalił trzy świece umieszczone w świeczniku i dzięki nim odnalazł tacę z alkoholami, stojącą w rogu pokoju.

Musiał się napić, by może dzięki temu znaleźć odpowiedź, co ma powiedzieć rano swej żonie.

- Przecież - pytał sam siebie - chyba nie ma zamiaru trzymać mnie na dystans i rozpoczynać naszego małżeństwa w tak niezwykle, wręcz nienormalny sposób?

Ze szklaneczką w ręku, książkę odsunął jedną zasłonę i otworzył okiennicę. Potrzebował powietrza.

Rozciągał się przed nim widok na ogród na tyłach domu.

Nie był on bardzo duży, ale rosło w nim kilka wspaniałych drzew, a zajmujący się nim ogrodnicy zapewniali go, że choć w ciemnościach nocy nie było tego widać, jest usiany kwiatami.

Gwiezdny blask przydawał drzewom tajemniczej aury, która, jak pomyślał książkę, spowiła teraz i jego życie.

Jakże mógł sobie wyobrazić, jak mógł w ogóle dopuścić taką myśl, że jego żona, która tak chętnie przyjęła jego tytuł, zamknie przed nim nie jedną, ale dwie pary drzwi?

Z gorzkim uśmiechem pomyślał, że pierwszy raz kobieta, którą był zainteresowany, nie wpuściła go do siebie.

To dlatego był tak zdziwiony.

Zawsze za, jeśli nie szeroko otwartymi, to w każdym razie łatwymi do otwarcia, drzwiami na jego ramiona czekała gorąca, rozpalona i namiętna kobieta, która odwracając ku niemu głowę, zgłodniała pocałunków, szukała jego ust.

- I co ja mam teraz zrobić? - zapytał książkę.

Pytanie odbiło się echem i nagle usłyszał za sobą jakiś dźwięk.

Zostawił drzwi otwarte i odwróciwszy się, widział część korytarza i schody, na których ktoś stał.

Przez moment był to tylko bezimienny cień, ale gdy się poruszył, książkę rozpoznał w nim swoją żonę. Schodziła powoli na palcach ze schodów, poruszając się tak

bezszelestnie, że gdyby nie jego czujność i wyostrzony słuch żołnierza, nie usłyszałby jej.

Wciąż powoli, stąpając cichutko, dotarła do korytarza.

Znalazła się poza zasięgiem jego wzroku, więc księżę odwrócił się od okna i podszedł bliżej drzwi, aby zobaczyć, co robi.

Gdyby go szukała, nie zachowywałaby się tak, jakby nie chciała, by ktokolwiek ją zauważył czy usłyszał.

Potem zauważył, że zatrzymała się przy frontowych drzwiach i próbowała je otworzyć.

Rozdział 5

Powoli, nie wiedząc jak się zachować, ksiązę bezszelestnie zakradł się na korytarz.

Gdy używając obu rąk i wyężdżając wszystkie siły, Magnolia wciąż nie mogła poruszyć rygla u szczytu drzwi, zapytał:

- Może mógłbym ci pomóc?

Gdyby wypalił z pistoletu, nie byłaby bardziej spłoszona. Skoczyła jak oparzona, zanim odwróciła się, by na niego spojrzeć, a jej ogromne, przerażone oczy, zdawały się wypełniać całą twarz.

Książę zobaczył, że Magnolia była ubrana w ciemną koszulę i długą pelerynę podszytą gronostajami.

Na głowie miała mały, niemal płaski kapelusik, spod którego wyglądały jej włosy z uroczymi srebrnymi pasmami.

Gdy zastygła w milczeniu, zapytał:

- Czy, skoro jestem twoim mężem, mógłbym wiedzieć, dokąd się wybierasz?

Po długiej przerwie, drżącym głosem, który brzmiał, jakby mówiła ze ściśniętym gardłem, Magnolia zdołała wyszeptać:

- Wy... wyjeżdżam!

- To widzę - odparł ksiązę. - Spodziewam się, że ktoś czeka na ciebie na zewnątrz.

- Nie!

- Naprawdę nie ma tam nikogo?

- Nie... oczywiście, że... nie.

- Mam rozumieć - zapytał, próbując nadać głosowi cichy, spokojny ton - że sama chciałaś powędrować ulicami? Dokąd?

I znowu zapadła cisza, zanim, jakby zmagając się ze sobą, odparła:

- Ja... ja nie wiem.

Książę popatrzył na nią, jakby nie wierzył, że mówi prawdę.

W świetle świec z wiszących kandelabrow, w jej oczach widać było tylko obezwładniający strach, a książę zauważył, że nie drgnęła od chwili, gdy do niej przemówił.

Spojrzał na jej stopy i zobaczył skórzany kuferek, który musiała postawić na ziemi, gdy usiłowała odsunąć rygiel.

Wyglądał bardzo kosztownie i książę podejrzewał, że ukryła w nim biżuterię.

Jeszcze raz, cicho, by nie przestraszyć jej bardziej, powiedział:

- Może gdybyśmy usiedli, zdołałabyś mi wytłumaczyć, co się dzieje i dlaczego czujesz, że powinnaś mnie opuścić?

Magnolia poruszyła się i książę pomyślał, że zaraz mu odmówi.

Jednak, jakby była zbyt słaba, by się mu przeciwstawić, przesunęła się nieznacznie, a książę podszedł, by wziąć kuferek z biżuterią.

Trzymając go, wrócił do pokoju, w którym przebywał, gdy Magnolia zeszła po schodach i czuł, że ona podąża za nim.

Postawił kuferek na biurku, a gdy ona niezdecydowanie zatrzymała się w drzwiach, powiedział zupełnie normalnym, nie zmienionym tonem:

- Trochę tu zimno. Chyba powinienem rozpalić w kominku.

Podniósł żagiew leżącą przy kominku, zapalił ją od świecy stojącej na biurku i rozniecił ogień.

Gdy płomień spalił biały papier i zajęły leżące pod nim drewno i węgiel, książę podniósł się i spostrzegł, że Magnolia wciąż stoi przy drzwiach.

- Wejdz i usiądź - zaprosił.

Posłuchała go, a książę zapalił jeszcze cztery świece, po dwie z każdej strony kominka.

Magnolia usiadła w fotelu, a książę najpierw przeszedł przez pokój, by zamknąć drzwi, które zostawiła otwarte, a

potem odwrócił się, by usiąść naprzeciwko niej, po drugiej stronie paleniska.

Płomienie oświetlały jej twarz i wydawało mu się, że była bardzo blada, gdy obejmując dłońmi kolana, spoglądała w ogień.

Książę wiedział, że w ten sposób próbuje ukryć drzenie rąk.

Gdy zastanawiał się, co powinien powiedzieć i jak nakłonić ją, by powiedziała mu prawdę, zapadła cisza.

Kiedy wreszcie zauważył, że Magnolia czeka na jego słowa, odezwał się:

- Właśnie mi powiedziałaś, że nie masz pojęcia, dokąd iść. Jeśli to prawda, to jak chciałaś poradzić sobie tu, w kraju, gdzie jesteś obca?

- Ja... ja pomyślałam, że... ukryję się gdzieś, gdzie... gdzie nikt mnie nie... znajdzie.

- Podejrzewam, że to „nikt” oznacza mnie.

- I... mamę.

Ledwie dosłyszał te słowa.

- Teraz, gdy jesteś mężatką, twoja matka nie jest już za ciebie odpowiedzialna - odparł książę - ale ja jestem i chciałbym, byś wiedziała, jakie zamieszanie powstałoby, gdybyś zniknęła dzień po swym ślubie.

- Myślałam, że... byłbyś zadowolony.

Wypowiadając te słowa, Magnolia patrzyła nie na niego, lecz w ogień.

Wydawało mu się, że zarumieniła się lekko.

- Nie, nie byłbym zadowolony - cicho odrzekł książę. - Za to byłbym ogromnie niespokojny, zdenerwowany i smutny.

Czuł, że mu nie uwierzyła, więc mówił dalej:

- Chyba zdawałaś sobie sprawę z grożących ci niebezpieczeństw?

Mówiąc to, zastanawiał się, jak jej wytłumaczyć, że najprawdopodobniej i pełen kosztowności kuferek, i droga, podszywana futrem peleryna, zginęłyby jej, zanim dotarłaby do końca Park Lane.

Jeśli nie napadliby jej złodzieje, to zrobiłyby to kobiety, które krążyły po ulicznych zaułkach o tej porze nocy.

- Chciałam... chciałam uciec! - wybuchnęła, mówiąc głośniej i bardziej stanowczo niż do tej pory.

- Ale dlaczego? - zapytał ksiązę.

- Bo... nie chcę być twoją... żoną, bo... bo ty mnie... nienawidzisz!

Ksiązę był zaskoczony, a gdy nie odpowiadał, Magnolia odwróciła głowę i spojrzała na niego. I znowu ujrzał przerażenie w jej oczach, gdy mówiła:

- Wiedziałam... wiedziałam o tym już w kościele, w ogrodzie, w pociągu. Tak... tak, jakbyś... powiedział to na głos.

To nie ulegało wątpliwości i ksiązę z zaskoczenia zaniemówił na chwilę, a gdy chciał się odezwać, Magnolia go wyprzedziła:

- Pozwól mi odejść... proszę... pozwól mi odejść i... i znaleźć miejsce, gdzie... mogłabym spokojnie żyć. Możesz... zatrzymać moje pieniądze... wszystkie pieniądze, ale... jeśli mnie nie chcesz, ja... nie mogę z tobą zostać, więc... pozwól mi odejść!

Mówiła nieustępliwym, a zarazem patetycznym tonem, a ksiązę odparł:

- Jesteś na tyle rozsądna, że wiesz, iż to nie takie proste. Zasmuciłem cię dzisiaj i chcę cię za to przeprosić.

- Wiedziałam, że... że pomysły mamy cię... rozzłoszczą - powiedziała Magnolia - ale ani tata, ani ja nie wiedzieliśmy, co planuje.

- Byłem zły - przyznał ksiązę - ponieważ sądziłem, że skoro bierzemy ślub w Anglii, będzie to cicha, intymna uroczystość dla nas, naszych krewnych i przyjaciół.

- Wiem - odparła Magnolia, a jej głos zabrzmiał jak szloch - ale... ale według mamy byłoby... nudno bez... prasy, a oni... musieli mieć o czym... pisać, bo mama chciała, żeby... każdy wiedział, iż wyszłam za... księcia.

Sposób, w jaki wypowiedziała ostatnie słowo, sprawił, że ksiązę zaczął dociekać:

- A ty nie chciałaś?

- Nie... oczywiście, że nie! - odparła Magnolia. - Nie chciałam wyjść za nikogo... poza...

Przerwała, a po chwili ksiązę zapytał:

- Poza kim?

Pomyślał, że nie zamierza udzielić mu odpowiedzi, lecz ona znowu odwróciła głowę i po chwili powiedziała:

- Kogoś, kto... pokochałby mnie, a skoro nie... nie znalazł się nikt taki... nie chciałam zostać... mężatką.

- Nie bardzo rozumiem - przyznał się ksiązę.

Magnolia wykonała niewielki gest, a ponieważ ręka wciąż jej drżała, szybko oparła ją z powrotem na kolanie.

- Wy tłumacz mi to, proszę.

Mówił przymilnie, jak do małego dziecka, a po chwili pomyślał, że w Magnolii rzeczywiście było coś bardzo dziecinnego.

Gdy siedziała wyprostowana na brzegu krzesła, wydawała się bardzo niedojrzała i ksiązę dostrzegł delikatne rysy jej profilu, odbijającego się na tle marmurowej półki nad kominkiem.

- Gdy skończyłam szkołę - wyszeptała - zdałam sobie sprawę, że... że mama zamierza... wydać mnie za kogoś bardzo... ważnego, a... a tata wytłumaczył mi, że nikt, kogo...

on by zaaprobował, nie... poprosi o moją rękę, bo... jestem zbyt... bogata.

Twardo wypowiedziała ostatnie słowo, a potem, z wyraźnym wysiłkiem, kontynuowała:

- Wy tłumaczył mi, że... że jeśli nie wyjdę za... ciebie, zawsze znajdzie się ktoś, kto... może być jeszcze... gorszy.

Po jej słowach zapadła cisza, a po chwili księżę rzekł:

- Nie pomyślałem o tym, ale przypuszczam, że wiem co twój ojciec miał na myśli. Lecz równocześnie...

Miał zamiar powiedzieć, że „... gdzieś na świecie musi być mężczyzna, który ożeniłby się z tobą dla ciebie samej.”

Potem pomyślał, że biorąc pod uwagę jej ogromny majątek, pan Vandevilt miał rację, że poza wyjątkowymi sytuacjami, żaden przeciętny, podobny do niego mężczyzna, nie chciałby mieć tak bardzo, wręcz niewyobrażalnie bogatej żony.

Jakby czytając w jego myślach, Magnolia powiedziała:

- Teraz, kiedy już rozumiesz, proszę... pozwól mi odejść. Ja... ja znajdę miejsce, gdzie... będę bezpieczna i... jeśli nikt nie dowie się, gdzie... jestem. .. będę mogła... spokojnie żyć.

Księżę nie odpowiadał, więc mówiła dalej:

- Myślę, że gdyby w pobliżu były książki... biblioteki i muzea.., miałabym... mnóstwo zajęć.

Spoglądała na niego błagalnym wzrokiem i prosiła:

- Pozwól mi odejść... proszę... proszę! Pozwól mi!

Księżę pomyślał, że nigdy w życiu nie musiał stawić czoła tak trudnemu problemowi. Wiedział, że musi go rozwiązać z jak największą dozą taktu i dyplomacji. Po chwili zapytał:

- Zastanawiałaś się, z czego będziesz żyć?

- Tak... oczywiście - odparła Magnolia. - Nie jestem głupia. Mam ze sobą trochę pieniędzy... niewiele, ale moja biżuteria jest bardzo cenna.

- Chcesz ją sprzedać?

- Tak. Wiem, że... nie dostanę za nią tyle, ile jest naprawdę warta, ale... wystarczy na... życie.

- Sądzę, że nie zdajesz sobie sprawy - powiedział książę - że samotna kobieta jest narażona na wiele przykrych pomyłek i nieprzyjemności.

Zauważył, że Magnolia spogląda na niego ze zdumieniem. Po chwili powiedziała:

- Nie jest, jeśli... z nikim nie rozmawia i... żyje bardzo... spokojnie.

- To nie tak - wyjaśnił książę. - Obawiam się, że żaden hotel nie przyjąłby cię samej, zwłaszcza, gdybyś nie miała stosownego bagażu, a wątpię, by ktokolwiek wynajął dom lub pokój młodej kobiecie bez listów uwierzytelniających.

Domyślił się, że Magnolia nie wiedziała ani nie rozważała tego, bo po chwili zapytała:

- Dlaczego mieliby... uważać, że... coś nie jest... w porządku? Przecież nawet w Anglii kobiety... są teraz bardziej wyemancypowane niż... kiedyś.

- Owszem - zgodził się książę - ale one nie wyglądają tak jak ty i nie są takie młode.

- Więc... co mam robić?

I znów szloch wydobył się z jej piersi, a książę odparł:

- Może spróbujesz zostać ze mną?

W jej oczach znowu pojawił się strach, więc pośpiesznie dodał:

- Możemy zawrzeć własną umowę o tym, jak będziemy żyć i jak ułożymy nasze stosunki.

Wiedział, że go nie rozumie, więc kontynuował:

- Złożyło się tak niefortunnie, że poznaliśmy się dopiero wczoraj. Powinniśmy mieć przynajmniej tydzień, by poznać się przed ślubem.

Spostrzegł, że go słucha i ostrożnie zasugerował:

- A może przedłużymy ten tydzień na kolejne tygodnie i, korzystając z okazji, sprawdzimy, czy przypadkiem nie jesteśmy dla siebie stworzeni. Do tego czasu zostańmy, po prostu, przyjaciółmi.

- To znaczy... - po chwili odparła Magnolia - że... że nie byłabym... twoją... żoną?

Nie ulegało wątpliwości, co miała na myśli, a drzenie jej głosu było bardzo sugestywne.

- Proponuję - rzekł książę - byśmy na początku nie zachowywali się jak małżeństwo, lecz jak obcy sobie ludzie połączeni zrządzeniem losu albo, jeśli wolisz, przeznaczeniem.

Wydawało mu się, że się wzdrygnęła, ale ponieważ się nie odzywała, mówił dalej:

- Sprawdźmy, czy coś nas łączy czy też nie i czy istnieje szansa, by nasza przyjaźń przerodziła się w głębsze uczucie.

- To znaczy... czy... czy... mogłabym się w tobie... zakochać? - dociekała Magnolia.

- Może w przyszłości. Mam nadzieję.

- Sądziłam, że... chcesz mnie tylko dla moich... pieniędzy, a nie... dlatego, że... potrzebujesz... miłości.

- Myślałem - odwzajemnił się książę - że ciebie interesuje jedynie mój tytuł!

- To mama go... chciała - wyjaśniła Magnolia. - Wolałaby księcia z królewskiego rodu, ale nie miała żadnego w zasięgu ręki.

Mówiła to z wyrzutem, lecz książę uśmiechnął się blado i odpowiedział:

- Wydawało mi się, że to kiepski interes, ale byłem tak zdesperowany, że wszedłem w to.

- Tak desperacko potrzebowałeś... moich pieniędzy?

- Chyba powiedziano ci, że mój ojciec pozostawił tak olbrzymie długi, że musiałbym zamknąć zamek, a moi

podwładni, nie mówiąc o starszych, zależnych ode mnie, członkach rodziny, przymieraliby głodem.

Sama myśl o tym go złościła, a w jego głosie zabrzmiała tak gorzka nuta, że Magnolia wykrzyknęła:

- Więc i ty... ty też mnie nienawidziłeś, za to... że musisz się ze mną... ożenić!

- Byłaś rozwiązaniem wszystkich moich problemów. Lecz to nie ciebie nienawidziłem; nienawidziłem myśli, że muszę się żenić pod presją. Ja też chciałem się zakochać.

Magnolia spoglądała na niego szeroko otwartymi oczami i książę wiedział, że nigdy wcześniej nie zaświtała jej podobna myśl.

- Chciałeś... poślubić kogoś... kto kochałby cię... za to, że... że jesteś?

- Oczywiście! - odrzekł książę. - To jasne. Ty nie chciałaś męża, który pragnąłby tylko twych pieniędzy, ja zaś nie chciałem żony, której nie interesowałbym jako mężczyzna, lecz wyłącznie jako książę.

- Przecież... musiało istnieć wiele... innych sposobów, by... zdobyć pieniądze - szepnęła po chwili Magnolia.

- Byłem tylko żołnierzem i nie miałem zbyt szerokich kontaktów - odparł książę. - Mógłbym ci powtórzyć twe słowa: „Przecież musiałaś spotkać mężczyzn, którzy kochali cię za to, jaka byłaś?”

Wydawało mu się, że grymas cierpienia przeszył twarz Magnolii. Powiedziała:

- Nie... nie było... żadnego.

- Więc tak jak powiedział twój ojciec, ja byłem dla ciebie mniejszym złem! - wykrzyknął książę. - To bardzo upokarzające, choć prawdziwe stwierdzenie!

W jego głosie zabrzmiała nuta sarkazmu, więc Magnolia popatrzyła na niego nerwowo. Potem powiedziała:

- Przecież... dla ciebie... dla ciebie najlepiej byłoby... pozwolić mi... odejść. Wtedy... nie złościłabym cię i nie irytowała, i... mógłbyś wydawać moje... pieniądze, nie... nie czując do mnie nienawiści.

- Wierzę, że gdyby do tego doszło - odparł książę - miałbym na tyle poczucia przyzwoitości, że nie zarobiwszy na twoje pieniądze, nie tknąłbym ich.

- To bardzo... głupia... postawa.

- Głupia czy nie głupia, na pewno honorowa. Więc gdybyś mnie opuściła, pozostałbym tak biedny jak w ranek przed naszym ślubem.

- Ale ja chcę, byś wziął moje pieniądze. Poza tym prawnie one już są twoje.

- Nie interesuje mnie prawo, lecz to co sam czuję - powiedział książę. - Ty i ja zawarliśmy umowę. I chociaż ty dotrzymałabyś swej części, ja nie mógłbym dotrzymać mojej.

Magnolia pochyliła się do przodu i otworzyła usta, jakby miała zamiar z nim dyskutować, lecz zaraz bezsilnie machnęła ręką.

- Co ja mam... zrobić? - zapytała. - Proszę, powiedz... co ja mam zrobić?

- Myślę, że to co oboje możemy zrobić - odparł książę - to wspólnie, rozsądnie o tym porozmawiać. Robi się tu coraz cieplej, więc proponuję, byś zdjęła płaszcz i kapelusz, i pozwoliła mi, bym podał ci wina.

- Nie, dziękuję, nie chcę wina.

- Więc może lemoniady? - zaproponował książę.

Podniósł się z miejsca i podszedł do tacy z alkoholami, gdzie stał mały dzbanek z domową lemoniadą, którą, odkąd sięgał pamięcią, zawsze umieszczano pomiędzy mocniejszymi napojami.

Napełnił szklanekę i podał ją Magnolii, która odpięła płaszcz i pozwoliła, by osunął się na oparcie za nią, po czym zdjęła kapelusz.

Jej włosy odkrywały czoło i były związane z tyłu w bardzo prosty kok.

Wiedział, że gdy jej pokojówka się położyła, musiała go upinać samodzielnie i ponownie się ubrać, by uciec, kiedy wszyscy będą spali.

Książę podał jej lemoniadę, a gdy ją wzięła, wrócił do tacy i nalał sobie brandy z wodą sodową.

Pomyślał, że potrzebuje czegoś mocniejszego, by poradzić sobie z tą sytuacją, bo w najgorszych snach nie podejrzewał, że tak będzie wyglądać jego noc poślubna.

Gdy znowu usiadł naprzeciw Magnolii, zdał sobie sprawę, że kiedy podawał jej lemoniadę, wzdrygnęła się, bo się go bała.

Wydawało mu się, że nigdy nie wzbudzał w kobietach strachu, choć wielu mężczyzn drżało, gdy wpadał w złość albo miał im coś do zarzucenia.

Książę najpierw napił się brandy, a potem powiedział:

- Chyba wiesz, Magnolio, że gdyby angielskie i amerykańskie gazety, które twoja matka postawiła w stan gotowości w związku z naszym ślubem, dowiedziały się o twoim zniknięciu, szukałyby cię cały kraj! Nie znalazłabyś jednego skrawka, gdzie mogłabyś się schronić przed ludźmi, którzy polowałiby na ciebie, jak na dzikie zwierzę.

Magnolia krzyknęła cicho.

- Przerażasz mnie!

- Po prostu mówię prawdę - odparł książę. - I musisz mi przyznać rację, że łatwiej i znacznie bezpieczniej będzie dla ciebie zostać ze mną niż tułać się samotnie po obcym świecie, gdzie nikogo nie znasz.

- Zostanę... jeśli obiecasz... - zaczęła Magnolia.

- Nie muszę nic obiecywać - przerwał jej książkę - skoro już dałem ci moje słowo. Musiałaś słyszeć, że na słowie angielskiego dżentelmena można polegać. Przynajmniej, gdy chodzi o moją osobę.

- I... moglibyśmy... tak jak mówiłeś... poznawać się, a... a ty byś mnie nie... dotknął?

Kolejny raz ostatnie słowo wypowiedziała niemal niesłyszalnym szeptem, lecz książkę dokładnie wiedział, co miała na myśli.

- Przysięgam, że cię nie dotknę, chyba że sama będziesz tego chciała - odparł - Myślę, Magnolio, że oboje musimy z rozsądkiem podejść do tych szczególnych i niezwykłych okoliczności, w jakich doszło do naszego ślubu.

Powoli mówił dalej:

- Po pierwsze, zapomnijmy, z jakiego powodu jesteśmy razem, i zaakceptujmy fakt, że od tej pory nic nie może nas rozdzielić, więc musimy znaleźć dobre strony tej sytuacji.

- Czy... czy to oznacza, że... że powinnam z tobą... jutro wyjechać?

- Tak to zostało zaplanowane - odparł książkę - ale jeśli wolisz, możemy zostać w Anglii.

Starł się nadać głosowi zwyczajny ton. Po chwili Magnolia powiedziała:

- Wszystko zostało już... ustalone, a... a ja bardzo chciałabym zobaczyć... południe Francji.

- Mnie też sprawiłoby to przyjemność.

- Nigdy tam nie byłeś?

- Na dwa dni zacumowaliśmy w Villafranche, na pokładzie statku, który wiozł wojsko do Egiptu.

- Więc... to będzie dla ciebie równie interesujące jak... dla mnie.

- Niezwykle interesujące - przyznał ksiązę. - Poza tym mam zamiar odszukać kupiony przez mojego ojca jacht, o którego istnieniu dowiedziałem się kilka tygodni temu.

- Też bym chciała - powiedziała po prostu Magnolia - a jestem dobrym żeglarzem. Ani taty, ani mnie nie mdliło podczas ostatniego sztormu na Atlantyku, chociaż mama i prawie wszyscy pozostali ciężko chorowali.

- W takim razie zrobimy użytek z jachtu.

Magnolia odstawiła szklanę na stolik obok niej i powiedziała:

- Chyba powinnam... już pójść do... łóżka, a... i ty musisz... padać z nóg.

- Mimo że spałem w pociągu - odparł z uśmiechem ksiązę - muszę przyznać, że jestem nieco zmęczony.

Podniósł kuferek, lecz Magnolia, gdy wstała, zawahała się przez moment i zapytała:

- Czy... czy jesteś pewien, że... że dobrze robimy? A jeśli ty... kiedy mnie poznasz... znienawidzisz mnie jeszcze bardziej niż... teraz?

- Chociaż to niemożliwe, to jeśli tak się stanie - powiedział ksiązę - będziemy musieli i tak być ze sobą szczerzy i dokładnie zastanowić się nad przyszłością.

Przerwał i z uśmiechem, który oczarowywał wiele kobiet, dodał:

- Zapewniam cię, że nie czuję do ciebie nienawiści, lecz jeśli ty będziesz mnie nienawidzić, zostanie nam do rozważenia wiele możliwych rozwiązań tej sytuacji.

- Jakich rozwiązań? - ciekawie zapytała Magnolia.

- Mam kilka domów w różnych częściach kraju i jeśli zechcesz, w jednym z nich będziesz mogła wieść spokojne, wygodne życie - odparł ksiązę. - Oczywiście, zawsze możesz też kupić dowolnie wybrany dom w Londynie, w innym kraju albo w ogóle gdziekolwiek zechcesz.

Mówił jak człowiek interesu, lecz zaraz pomyślał, że nikt tak delikatny, młody i bezradny nie poradzi sobie sam.

Nagle przyszło mu na myśl, że czy mu się to podobało czy nie, musi chronić Magnolię i opiekować się nią. I nie miał na myśli tylko ochrony przed obcymi ludźmi, lecz także przed nią samą.

- Ale... chyba teraz... nie muszę o niczym... decydować? - zaniepokoiła się Magnolia.

- Jak pamiętasz, rozważaliśmy, co możemy zrobić, jeśli znienawidzimy się tak mocno, że nie będziemy mogli żyć razem - odrzekł książę.

- Tak... oczywiście - zgodziła się Magnolia. - To chyba ze zmęczenia mącą mi się myśli.

- Szczerze mówiąc, myślę, że jesteś bardzo rozsądna i inteligentna - odparł książę - i gdy to wszystko przemyślisz, będziesz zadowolona tak samo jak ja, że samotnie nie wyszłaś za próg tego domu. Tu jesteś o wiele bardziej bezpieczna.

Magnolia podniosła swój podszywany gronostajami płaszcz i przerzuciła go przez ramię. Potem popatrzyła na księcia, a ponieważ był o wiele wyższy od niej, musiała unieść głowę.

Spoglądała na niego ogromnymi oczami i niepewnie powiedziała:

- Chyba... chyba powinnam ci... podziękować, że... że byłeś bardziej miły i... wyrozumiały niż... przypuszczałam.

- Jeżeli zamierzasz mi dziękować - odparł książę - powinienem przeprosić, że tak cię wystraszyłem.

- Ja... ja rozumiem dlaczego... byłeś zły - powiedziała Magnolia - i... przykro mi z powodu... ogromnego, ślubnego tortu i... z powodu ptaka, i róż... i żałuję, że to wszystko nie zatoneło podczas... sztormu!

Mówiąc to, spoglądała na niego niespokojnie i zauważyła, że wywołała na twarzy księcia uśmiech.

- Zgadzam się, to przyszłoby jak miłosierne wybawienie, bo rzeczywiście wszystko było okropne - odparł!

Nagle Magnolia roześmiała się cicho.

- Właśnie przypomniałam sobie, że gdy z ptaka wyleciały róże, jeden z kelnerów dał nura pod stół.

- Domyślam się, co wtedy czuł.

Teraz i ksiązę potrafił się już śmiać z zamieszania, jakie wywołały pomysły pani Vandevilt.

- Pójdę się... położyć - pospiesznie powiedziała Magnolia, jakby bała się, że ksiązę znowu wpadnie w złość.

- Też mam taki zamiar - odparł. - Zaniosę twój kuferek. Czy mogę zaproponować, byś do jutrzejszego ranka ukryła go w bezpiecznym miejscu?

- Chyba nie boisz się, że zostanę okradziona?

- Nie, oczywiście, że nie - powiedział ksiązę - ale cenne klejnoty stanowią pokusę nawet dla najbardziej uczciwych.

Mówiąc to, pomyślał, że pieniądze, bez względu na ich pochodzenie, w ten czy inny sposób przyciągają przebiegłych złodziei i ludzi takich jak on.

Zauważył, że Magnolia podeszła do drzwi, więc odwrócił się, by zdmuchnąć świece stojące na kominku i na biurku.

Kiedy wyszedł z pokoju, zobaczył, że ona jest już w połowie schodów, lecz gdy podeszła do drzwi sypialni, poczekała, aż do niej dołączy.

Gdy nadszedł, wyciągnęła rękę po swój kuferek.

- Mogę go zabrać? - zapytała. - Czy też... może... będzie bezpieczniejszy... przy tobie?

Czuł, że stara się mu powiedzieć, iż gdy on odejdzie, nie będzie próbowała kolejnej ucieczki.

- Zrobię co zechcesz, Magnolio, tylko wypocznij i postaraj się zasnąć. Jutro czeka nas długa podróż, a mam przecucie, że znajdziesz w niej wiele interesujących tematów do rozmów.

Na ustach zagościł jej uśmiech i wydawało mu się, że jej oczy zaiskrzyły się nowym blaskiem i nie było już w nich strachu, gdy mówiła:

- Opowiesz mi o Indiach?

- Oczywiście, i tak jak sugerowała twoja matka, odwiedzimy greckie wyspy, tylko po drodze musimy odświeżyć naszą znajomość mitologii.

Magnolia krzyknęła cicho.

- To znaczy, że możemy pojechać do Grecji? Zawsze mnie fascynowała.

- Możemy pojechać dokądkolwiek zechcesz - odparł książę.

A gdy to mówił, pomyślał, że zdanie powinno się kończyć tak: „bo to wszystko za twoje pieniądze”. Był zły na siebie, gdyż podobna myśl po prostu nigdy nie powinna się zrodzić.

Milczał i był pewien, że Magnolia zrozumiała to, bo wydawało mu się, że jej oczy straciły swój blask, gdy powiedziała:

- Sam dobrze wiesz, że... to nie ja... podejmuję takie decyzje... tylko ty.

Nie patrzyła już na niego, tylko otworzyła drzwi do sypialni.

Potem, bez jednego słowa, bez jednego spojrzenia w jego kierunku, opuściła go. Ocknął się, stojąc przed zamkniętymi drzwiami, z kuferkim w ręku.

Słońce świeciło, było wyjątkowo gorąco, a ogrody willi mieniły się tysiącami kolorów.

Magnolia stała na tarasie, mając za plecami długi rząd okien, i pomyślała, że widok błękitnego morza jest urzekająco piękny.

Naprawdę z troską zastanawiała się, w jaki sposób w listach, które wysyłała do ojca, zdoła opisać cudowny,

baśniowy krajobraz, który ukazał się ich oczom, gdy w Nicei wysiedli z pociągu.

Mieli bardzo wygodną podróż z Anglii i choć dla księcia była to nowość, doskonale wiedział, że Magnolia przywykła do tego od dziecka.

Posłaniec wcześniej wszystko zorganizował, a teraz podróżował z nimi, by dopilnować bagaży i służby.

Problemy pojawiły się jedynie pierwszego ranka, gdy, zanim Magnolia zeszła na śniadanie, książę został powiadomiony, że bagaże, jego kamerdyner i pokojówka Magnolii wyjechali już na dworzec razem z posłańcem.

- Trzech ludzi z ochrony pojechało z nimi, jaśnie panie - powiedział majordomus. - Czwarty czeka, by towarzyszyć jaśnie państwu w drodze, gdy już będziecie gotowi do wyjazdu.

- Ochroniarze? - zdziwił się książę.

- Ochrona osobista, jaśnie panie. Przyjechali tu wczoraj specjalnym pociągiem i zostali na noc.

- Chcesz powiedzieć - wypytywał go książę - że zatrudniono ochroniarzy, którzy pojedą z jaśnie panią i ze mną w podróż poślubną?

- Jak przypuszczam, jaśnie panie, takie polecenie wydała pani Vandevilt.

- Doskonale, polecenia zostają zmienione! - ostro odparł książę. - Nie mam zamiaru spędzać miodowego miesiąca w towarzystwie czterech ochroniarzy. To jest Anglia, nie Ameryka! We Francji będziemy tak samo bezpieczni jak tutaj.

Majordomus popatrzył z zakłopotaniem, a książę pospiesznie dodał:

- To oczywiście nie twoja wina, Dawkins, lecz przekaz temu ochroniarzowi, który pozostał w domu, że nie potrzebuje jego usług i że pozostałych odeślę, gdy tylko dotrzemy na Victoria Station.

- Oczywiście, jaśnie panie.

Gdy Magnolia przyszła, ksiązę nie powiedział jej o swej decyzji, lecz ona sama zobaczyła trzech mężczyzn, czekających na nich na dworcu.

Zanim, odprowadzeni przez zawiadowcę, wsiedli do pociągu, ksiązę odesłał trzech ochroniarzy, którzy stali niezdecydowani z posepnymi minami, gdy on dołączył do żony.

Dopiero gdy zostali sami w prywatnym wagonie, który miał ich zawieźć do Dover, Magnolia spytała:

- Nie pozwoliłeś... ochronie... jechać z nami?

- Oczywiście, że nie! - odparł ksiązę, - Może i potrzebowałaś ich w Nowym Jorku, ale zapewniam cię, Magnolio, że i w tym kraju, i we Francji sam potrafię zadbać o bezpieczeństwo mojej żony.

- Musieli być zdziwieni, że ich nie potrzebujesz.

- Nie interesują mnie ich, a jedynie moje i twoje uczucia - odpowiedział ksiązę. - To kompletnie bez sensu, robić wokół nas zamieszanie, jakbyśmy byli parą królewską i obawiali się anarchistów, grożących nam bombami.

- Możemy zostać porwani dla okupu.

- To bardzo mało prawdopodobne - stanowczo rzekł ksiązę.

Spodziewał się protestów ze strony Magnolii, ale ona się uśmiechnęła.

- Sprawiasz, że... że czuję, jakbym uciekała z mojego... więzienia.

- Więc to miałaś na myśli, mówiąc, że jesteś wolna tylko wtedy, gdy czytasz! - wykrzyknął ksiązę.

Magnolia przytaknęła.

- Nigdzie nie mogłam pójść bez ochrony. Gdy moja opiekunka zabierała mnie na przechadzkę do Central Parku,

towarzyszyło nam dwóch mężczyzn; gdy byliśmy w kraju, dom otoczony był zawsze przez uzbrojonych ludzi.

Westchnęła cicho.

- Koleżanki w szkole śmiały się ze mnie, bo ilu opiekunek i nauczycielek bym nie miała, zawsze na korytarzu przed klasą czekał ochroniarz, który zabierał mnie do domu!

- Mogę tylko powiedzieć, że bardzo ci współczuję.

- Gdy się nad tym zastanawiałam, też było mi siebie żal - odrzekła Magnolia. - Zawsze zazdrościłam dzieciom, które bosobiegały po ulicach, i myślałam, że są bardziej szczęśliwe niż ja.

- Sądzę, że to nieuniknione, iż wszyscy ludzie wydają nam się szczęśliwsi od nas - powiedział książę. - Co do mnie, to dotychczas cieszyłem się niemal każdą chwilą mojego życia.

Nie zdawał sobie sprawy z tego, co powiedział, póki Magnolia, niemal bezgłośnie, nie powtórzyła:

- Dotychczas?

- Nie to miałem na myśli - poprawił się szybko. - Chodziło mi o ten moment, gdy musiałem opuścić oddział i wrócić do domu, do tych wszystkich problemów i kłopotów, które wiążą się z książęcym tytułem.

- Czyli i mnie!

- Mam wrażenie - powiedział z błyskiem w oczach - że domagasz się komplementów.

- Nie... oczywiście, że nie! - odparła z przerażeniem Magnolia. - Właśnie... myślałam, że... mi ciebie szkoda.

- Niepotrzebnie, bo jeśli zechcę, mogę się sam nad sobą poużalać - powiedział książę. - Proponuję, Magnolio, byśmy spróbowali cieszyć się sobą nawzajem.

Gdy to mówił, popatrzył na nią i zaraz dodał:

- Podróżujemy w luksusie, którego ja, jako żołnierz, i to bardzo biedny żołnierz, nigdy wcześniej nie zakosztowałem.

Magnolia zaśmiała się cicho.

- Opowiedz mi o tym - poprosiła.

- Opowiem ci, co to znaczy płynąć na wojskowym okręcie - odparł książę.

I zaczął opisywać niedogodności podróży na przepełnionym okręcie, gdzie większość żołnierzy nigdy przedtem nie była na morzu i cierpiała na morską chorobę.

Opowiadał o kłopotach z uspokojeniem koni, o trudnym do zniesienia skwarze, gdy wpłynęli na Morze Czerwone, i braku zdatnej do picia wody.

Zauważył przy tym, że Magnolia wspaniale potrafi słuchać. Podczas całej drogi do Francji zasypywała go pytaniami o jego podróże, kraje, które zwiedził, i ludzi, których spotykał.

Zaskoczyła go dojrzałość jej pytań i stwierdził, że podoba mu się rola nauczyciela.

Jeśli przez nieuwagę jej dotknął albo podtrzymał jej ramię, gdy schodziła ze schodów, czuł jak wzdryga się przed każdym fizycznym kontaktem.

Nieco zły, powtarzał sobie, że wspaniale wpłynie to na jego ego, choć z drugiej strony, czuł się tym nieco urażony.

Nie przez zarozumiałość, bo książę musiałby być głupi, by nie zauważyć, że jest niezwykle atrakcyjnym mężczyzną i że niemal każda kobieta, dla której starał się być miły, obdarowywała go pełnym blasku spojrzeniem, które było bardziej wyraziste niż słowa.

Chłonąc każde jego słowo, Magnolia jednocześnie uciekała od niego jako od mężczyzny, a tym bardziej męża.

Co więcej, zawsze miała się na baczności, gdyby on postanowił nadużyć praw z pozoru udanego, ale pełnego rezerwy związku.

Gdy wieczorem poszedł spać do wygodnej sypialni w prywatnym wagonie, który, co książę wiedział, za

astronomiczną sumę pieniędzy został podłączony do Southbound Express, zauważył, że rozmyśla o Magnolii, lecz nie tak jak wtedy, gdy była tylko nie znaną Amerykanką, z którą zawierał umowę handlową.

Teraz, gdy poznaj; ją lepiej, zdał sobie sprawę, że jest niesamowicie delikatna i krucha, że choć niezwykle inteligentna i odcytana, jest niewinna jak niemowlę, że żyła do tej pory zamknięta niczym w klasztorze, w bezpiecznym świecie wielkiej dziedziczki.

Był przerażony, myśląc, co mogło się jej przytrafić, gdyby spełniła swój zamiar i uciekła na ulicę sama, bez opieki.

Przez swą naiwność albo zostałyby napadnięta i porzucona przy drodze, albo, co jeszcze gorsze, porwana do jakiegoś pozbawionego wszelkiej reputacji domu publicznego, skąd nie byłoby już ucieczki.

Książę nie miał pojęcia, że amerykańskie dziedziczki były chronione i izolowane od prawdziwego życia do tego stopnia, że obracając się w wyimaginowanym świecie, nie miały pojęcia o rzeczywistości i były w niej zupełnie bezbronne.

Poraziła go myśl, że gdyby poślubiła innego niż on człowieka, na przykład europejskiego księcia, którego interesowałyby tylko jej pieniądze, mogłaby przeżyć szok i zostać zastraszona do tego stopnia, że nie potrafiłaby dalej z tym żyć.

Zaraz powiedział sobie, że przesadza, lecz ta myśl pozostała i sprawiła, że zwracał się do Magnolii bardzo cicho i spokojnie i nie uczynił najmniejszego gestu, który mógłby sprawić, że bałaby się go jako mężczyzny jeszcze bardziej niż teraz.

Równocześnie sam zadał sobie pytanie, na które nie było odpowiedzi:

- Skąd mam mieć pewność, że nie będzie się mnie bała w przyszłości?!

Rozdział 6

Gdy wczesnym rankiem książe wyszedł na pokład, morze było spokojne, a horyzont osnuwała mgła, którą powoli rozpraszało wschodzące słońce.

Nie zdziwił się, widząc Magnolię.

Zauważył, że odkąd znaleźli się na jachcie, tryskała energią, jakiej wcześniej u niej nie spostrzegł, a każdy nowy dzień stanowił dla niej przygodę, której nie mogła opuścić.

Była wolna w sposób, jakiego nie doświadczyła nigdy przedtem. Książe z radością obserwował jej reakcje, gdy została wyzwolona z więzów, które krępowały ją od urodzenia.

Na początku, gdy oświadczył, że wyruszają jachtem w nieznanym kierunku, pokojówka Magnolii po prostu odmówiła wyjazdu.

- Za żadne skarby, jaśnie pani! Za nic nie chcę cierpieć tak, jak podczas podróży przez Atlantyck! - oświadczyła stanowczo.

Gdy kobieta pozostała nieugięta, Magnolia zwróciła się o pomoc do księcia.

Wyglądała na zmartwioną i zanim zdążyła się odezwać, on zapytał:

- Dlaczego jesteś zła?

- Nie jestem... zła - odparła - tylko pokojówka odmówiła wejścia ze mną na pokład.

Książe uśmiechnął się.

- Więc ten, decydujący o losach świata, problem polega na tym, czy masz zatrudnić nową pokojówkę czy sama o siebie zadbasz.

Ze zdziwienia malującego się na jej twarzy domyślił się, że w ogóle o tym nie pomyślała.

- Jeśli będziesz miała kłopoty, Jarvis, mój kamerdyner, na pewno ci pomoże, a jeżeli to będzie konieczne, ja sam służę wsparciem.

- Chcesz mi powiedzieć, że mogę popłynąć z tobą bez pokojówki?

- Oczywiście - odparł książę. - Nie wybieramy się w żadne eleganckie miejsca i mam nadzieję, że nikt nie zechce nas zabawić, więc nawet jeśli nie będziesz wyglądała, jakbyś wyszła wprost z garderoby, skrytykują cię tylko ryby i ja!

Na chwilę zapadła cisza, a potem Magnolia powiedziała:

- Wiem, że... że się ze mnie śmiejesz i... uważasz to za niedorzeczne, ale... ja... ja nigdy... nie zajmowałam się sobą... sama.

- W takim razie czeka cię nowe doświadczenie - stwierdził książę.

Kiedy wyjechali za granicę bez surowej amerykańskiej pokojówki, która pozostała w willi ze swymi protestami i kwaśną miną, książę był pewny, że Magnolia cieszy się z tej niezależności.

Słyszał, jak z samego rana krzątała się po swej kabinie, a pojawiała się na pokładzie na długo przed nim.

Upinała włosy tak jak w noc poślubną, podczas próby ucieczki, a książę pomyślał, że dzięki prostocie wykonania, wyglądała w tej fryzurze o wiele lepiej niż w misternie dopracowanej koafurze.

Wojskowe przyzwyczajenie sprawiło, że ostro oceniał każde niedociągnięcie, lecz choć czasem zauważył, że suknia Magnolii była źle zapięta na plecach albo szarfa nie dość starannie zawiązana, ani razu nie zwrócił jej uwagi.

Po dwóch dniach żeglugi, śmiało mógł przyznać, że jej pogodna twarz i błyszczące z podniecenia oczy kompensowały wszelkie niedostatki stroju.

Wiedząc o ojcowskich skłonnościach do ekstrawagancji, książę nie był zaskoczony odkrywając na łodzi parowej „Werewolf” wszelkie możliwe udogodnienia i nowinki, które dodawały jej luksusu, jakim nie mogła się poszczycić żadna tego typu jednostka na świecie.

Była starannie wykończona i, jak się mógł spodziewać, główne kabiny wyposażone zostały w niezwykle wygodne, zdobione mosiężnymi okuciami łoża, które były wystarczająco duże, by pomieścić dwie osoby.

Chciał ofiarować Magnolii książęcą kabinę, którą przedtem zajmował jego ojciec, ale ona wolała sąsiednią, znacznie bardziej kobiecą, utrzymaną w tonacji różu, o której, gdy zobaczyła ją pierwszy raz, powiedziała z zachwytem, że „przypomina jej kwiat róży”.

Po tak spontanicznym zachwycie, zza opuszczonych powiek, trwożliwie popatrzyła na księcia.

Wiedział, że przypominała sobie o dziesięciu tysiącach róż, które spadły na ziemię w dniu ich ślubu, i bała się, iż samo wspomnienie tego kwiatu sprawi, że książę wpadnie w taką złość jak wtedy.

On jednak odparł tylko:

- Powiedziałem, że możesz wybrać tę kabinę, która ci bardziej przypadnie do gustu, a skoro ta przypomina kwiat, będzie dla ciebie odpowiednim otoczeniem.

Był to komplement, ale wiedział, że Magnolia zastanawiała się, czy naprawdę to miał na myśli. Potem, po krótkiej chwili milczenia, powiedziała:

- W takim razie, poproszę o tę.

Gdy na „Werewolfie”, wraz z należącym do załogi doskonałym chińskim kucharzem, przemierzali francuskie wybrzeże kierując się w stronę Włoch, książę miał wyrzuty sumienia, iż korzysta z takiego luksusu.

Kapitan i jego załoga przywitali go z radością, bo nudzili się i powoli tracili karność, spędzając czas w porcie i czekając na właściciela, który się nie pojawiał.

Książę dowiedział się, że jego ojciec przez ostatni rok utrzymywał na „Werewolfie” dwie ogromne i skore do zabaw załogi i kapitan z niecierpliwością czekał na decyzję, czy jacht zostanie sprzedany, a oni zwolnieni.

Książę nie ukrywał, że przed ślubem miał taki zamiar, a i teraz nie był do końca przekonany, czy jest on im rzeczywiście potrzebny.

Lecz przyjemność, jaką czerpała z rejsu Magnolia, jej nieskrywana radość na myśl o ujrzeniu Grecji, a być może samego Konstantynopola, podpowiedziały księciu, że na tym etapie ich małżeństwa jacht może spełnić ważną rolę we wspólnym poszukiwaniu szczęścia.

Musiał przyznać, że sam tego chciał i że niedorzeczne byłoby wciąż nienawidzić bogactwa Magnolii, zamiast zaakceptować je, jeśli nie z zadowoleniem, to przynajmniej z wdzięcznością.

Po pierwszym tygodniu małżeństwa ze zdziwieniem stwierdził, że jego żona jest jeszcze bardziej inteligentna i wykształcona, niż przypuszczał pierwszego wieczora.

Bez wskazówek lady Edith wiedział, że żadna Angielka nie dyskutowałaby z nim na podobne tematy, które byłyby niezrozumiałe nawet dla większości mężczyzn w jego wieku.

Magnolia mówiła prawdę, twierdząc, że kolekcjonuje i pochłania książki.

Nie zaskoczył księcia brak biblioteki na pokładzie, bo wiedział, że jego ojciec zajmował się studiowaniem nie książek, ale samej natury ludzkiego, a szczególnie kobiecego, gatunku.

Dlatego przed wypłynięciem z portu przezornie udał się w Nicei do największej księgarni i kupił niemal wszystkie

książki, które, jego zdaniem, w ten czy w inny sposób mogły przykuć uwagę Magnolii.

Jej radość wystarczyła za wszelkie podziękowania.

- Naprawdę wszystkie są dla mnie? - zapytała.

- Pomyślałem, że oboje moglibyśmy je przeczytać, gdyby skończyły nam się tematy do rozmów - odparł książę.

Roześmiała się cicho.

- Myślę, że tak naprawdę kupiłeś je, aby, kiedy znudzi ci się odpowiadać na moje pytania, książką zamknąć mi usta!

- Nie pomyślałem o tym - uśmiechnął się - lecz jest to niezły pomysł!

Popatrzyła na książkę, którą podniosła ze sterty innych, leżących na podłodze, i zapytała nieśmiało:

- Czy... czy naprawdę jestem... taka ciekawska?

- Z radością powiem ci wszystko, co wiem - odrzekł książę. - Raczej obawiam się, że mogę cię rozczarować brakiem albo niewystarczającą odpowiedzią na twe pytania.

- To dla mnie bardzo ekscytujące - poważnie powiedziała Magnolia - że poznałam kogoś, kto... osobiście... robił tyle rzeczy.

Zawahała się, jakby dobierała odpowiednie słowa, a potem mówiła dalej:

- Tata podróżował po całym świecie, ale on oglądał tylko obrazy, a nie ludzi czy miejsca, więc wszystko, o czym mówisz; wszystko, co robiłeś, jest zupełnie inne od tego, co słyszałam dotychczas.

- Myślę, Magnolio - odparł książę - że sama musisz zmierzyć się z życiem, a nie przyjmować je „z drugiej ręki” od innych, nieważne, czy od twego ojca czy ode mnie.

Popatrzyła na niego zdziwiona, jakby podsunął jej odkrywczą myśl, a potem zapytała:

- Sugerujesz, że powinnam zacząć nowe życie?

- Już je zaczęłaś. Jesteś tutaj, wyszłaś za mąż i zostawiłaś za sobą wszystko, co było ci bliskie przez osiemnaście lat twego życia.

- Przeraza mnie to, co mówisz. Lecz cieszę się, że tu jestem i czekam na to, co przyniesie jutro, pojutrze i kolejne dni.

- To jest właściwe podejście - przyznał książę - i to właśnie jest życie.

Wiedział, że rozmyślała nad jego słowami, bo gdy tego wieczoru jedli kolację w pięknym salonie, utrzymanym w niebieskiej tonacji barw morza o wschodzie słońca, zapytała go:

- Co czujesz, gdy jesteś w niebezpieczeństwie? Książę zastanawiał się przez chwilę.

- Jeżeli masz na myśli bitwę albo spotkanie oko w oko z nieprzyjacielem, to wydaje mi się, że podniecenie pomieszane ze strachem.

- Strach?! - wykrzyknęła Magnolia. - Myślałam, że mężczyźni nigdy się nie boją.

- Każdy, jeśli mówi uczciwie, przyzna się do strachu, że zostanie ranny albo zabity - odrzekł książę. - Lecz żołnierz jest nauczony samodyscypliny do tego stopnia, by nie okazywać lęku, co w większości przypadków czyni samą myśl mniej dotkliwą niż w rzeczywistości.

Magnolia zastanawiała się nad tym przez chwilę, a potem powiedziała:

- Więc dyscyplina uczy samokontroli.

- Tak powinno być.

Potem, jakby czytając w jej myślach, książę uśmiechnął się i rzekł:

- Oczywiście zdarzają się żałosne przypadki, gdy czyjeś uczucia przełamiają mur samokontroli zbudowany przez dyscyplinę i wtedy ukazują się one oczom innych.

Wiedział, że oboje myślą o tym, iż w dniu ślubu nie zapanował nad swoimi odczuciami, tak jak powinien, lecz po chwili powiedział z błyskiem w oku:

- Przynajmniej nie schowałem się pod stół!

Magnolia roześmiała się, a jej głos rozniósł się echem po salonie.

- To byłoby mało dystygowane. Nie, ty stałeś sztywno i ani drgnąłeś, jak prawdziwy żołnierz. Jednocześnie z twoich oczu, a przypuszczam, że i z serca, sypały się iskry.

- Zawstydzasz mnie - poskarżył się książę.

- Szczerze mówiąc, przesadzam - odparła pospiesznie. - Wątpię, by... ktokolwiek... odgadł twe... uczucia.

- Mimo wszystko powinienem siebie ukarać, a przy kolejnej takiej okazji, mieć się na baczności przed tobą.

Magnolia zachichotała:

- Chyba nie proponujesz powtórnego ślubu?

- Broń Boże! - odparł z udawaną powagą książę. - Równie dobrze twoja matka może zechcieć uczcić rocznicę naszego ślubu albo...

Przerwał w pół zdania, bo zdał sobie sprawę, że o mały włos, a powiedziałby: „chrzcin”.

Przeszło mu przez myśl, że w obecnej sytuacji nie było szans, by uczynić zadość rodzinnej tradycji, gdy panujący książę albo jego najstarszy syn płodzili spadkobiercę tytułu.

Nie będzie fajerwerków i przyjęcia dla pracowników i dzierżawców, wydawanego zawsze z okazji osiągnięcia dorosłości przez dziedzica.

Porażony nagłą myślą, że mimo swobodnie toczonych rozmów i przyjaznego nastroju, jaki towarzyszył im w pierwszych kilku dniach po ślubie, ich małżeństwo wciąż nie zostało skonsumowane, książę odstawił szklaneczkę i kładąc rękę na dłoni Magnolii, powiedział zmienionym tonem:

- Magnolio, musimy porozmawiać poważnie. Tak jak przedtem, tak i teraz czytała w jego myślach, więc krzyknęła cicho, cofnęła dłoń i odparła:

- Nie... my nie... mamy o czym... rozmawiać. .. i... ja chcę wyjść na pokład...

Nie zdążył jej powstrzymać. Zerwała się od stołu i schwyciwszy szal, który leżał na krześle, wybiegła z salonu, zanim zdołał w ogóle wstać.

Słyszając szybkie kroki w przyległym korytarzu, nie próbował jej gonić. Zacisnął tylko zęby i powiedział sobie, że niepotrzebnie był tak głupio niecierpliwy.

Lecz tutaj, na morzu zachowywała się tak beztrosko i naturalnie, że zdążył już zapomnieć o jej strachu przed nim.

Był niepoprawnym optymistą, sądząc, że Magnolia zaczyna go lubić, lecz teraz znów znalazł się w punkcie wyjścia, gdy zabiegał o jej wiarę i zaufanie, gdy przekonywał ją, że jest jej przyjacielem, nie wrogiem.

Znał jej odpowiedzi i tym bardziej był sfrustrowany i rozzłoszczony sytuacją.

Jak mają dalej toczyć tę grę?

Rozumiał, że gdy w pierwszej chwili uciekała od niego, było to spowodowane pośpiesznym ślubem, lecz w jaki sposób miał ją przekonać, by zaakceptowała go w należytym mu roli męża i... kochanka?

Kiedy sobie to przypomniał, jej ostatnie słowa były jak cios między oczy.

Uczciwie musiał przyznać, że pożądał Magnolii jako kobiety.

Musiałby być ślepy i głuchy, by nie dać się oczarować jej urodzie i nie zafascynować się jej miękkim, jakby szepczącym głosem.

Mówiła zupełnie inaczej niż jakakolwiek kobieta, którą znał, i tembrem swego głosu nadawała każdemu, choćby

najbardziej uczonemu tematowi, kobiecy, a może lepszym określeniem byłoby „czarowny”, klimat.

Podobał mu się sposób, w jaki się poruszała, jej wdzięk i duma, z jaką nosiła małą główkę na długiej, łabędziej szyi.

Jest piękna, myślał książę, i, na Boga, jest moją żoną!

Potem karcił sam siebie nie tylko za niecierpliwość, ale i za poddanie się atmosferze otaczającego ich skwaru i pogody, a ponad wszystko myśli, że podczas tego, co miało być jego miodowym miesiącem, jest sam na sam z bardzo ponętą kobietą.

- Dobry Boże! Nie byłbym mężczyzną, gdybym jej nie pożądał! - usprawiedliwiał się przed sobą.

Równocześnie wiedział, że działa zbyt pośpiesznie, skoro postawił się w roli, jakiej nigdy jeszcze nie odgrywał, mężczyzny starającego się o względy kobiety.

W przeszłości takie podboje zawsze przychodziły mu z łatwością. Szczerze mówiąc, najczęściej myślał, że to one, nie on, jak przystało na prawdziwego mężczyznę, były zdobywczyniami.

Lecz z Magnolią było inaczej, a on był na tyle głupi, że ją przestraszył i postawił się w jeszcze gorszej sytuacji niż na początku.

Nagle zdał sobie sprawę, że bierze udział w kampanii i choć zupełnie brak mu doświadczenia, będzie musiał stosować taktykę, jakiej nie używał do tej pory.

Gnębiło go przykre uczucie, że opracował plan operacji, która pochłonie wiele czasu, a wcale nie gwarantuje powodzenia.

Założmy, iż zamiast go pokochać albo przynajmniej polubić, znienawidzi go tak, że gdy wróca do Anglii, opuści go, jak próbowała to zrobić pierwszej nocy?

Zastanawiał się, ileż to spowoduje zamieszania i kłopotów. Rozważał, jak monotonne byłoby jego życie i dostrzegł, że sama myśl o tym napawa go przerażeniem.

Jeśli istniała choć jedna rzecz, której książę nigdy nie tolerował, były to romanse żonatych mężczyzn.

Zawsze twierdził, że to nie tylko oszukańcze, ale i niesportowe zachowanie, skoro kobieta nie miała takich jak mężczyzna szans na zakazane przyjemności.

Czuł lekki niesmak, ilekroć słyszał, jak taki małżonek mówi:

- Moja żona? Och, w kraju jest całkiem bezpieczna!

Znał mężczyzn, którzy wykorzystywali każdą nadarzającą się okazję do zabawy i zawsze wtedy z determinacją myślał, że nie będzie taki jak oni i gdy się ożeni, ciche romanse przestaną się dla niego liczyć.

Lecz nawet gdy o tym myślał, wiedział, że lady Edith kpiłaby z jego niedzisiejszych ideałów.

Mimo to tkwiło w nim to uczucie. Jednocześnie był na tyle praktycznym człowiekiem, by wiedzieć, że małżeństwo z kobietą która nie będzie chciała mieć z nim nic wspólnego, sprawi, iż jego życie stanie się bardzo trudne, przepełnione frustracjami i samotnością.

Mężczyzna potrzebował kobiety, zwłaszcza gdy nie mógł dłużej zmagać się z niebezpiecznymi przeciwnikami na północno - zachodnim froncie.

Co więcej, był teraz żonaty, pragnął posiadać rodzinę, która wypełniłaby zamek krzykami dzieci, i wiedzieć, że opiekunki, które go wychowywały, znów znajdą u nich zatrudnienie; że potem, po kilku latach zacznie uczyć syna, jak dosiadać konia i strzelać, a córki, gdy dorosną, będą tak piękne, jak ich przodkowie.

Przedtem nigdy się nad tym nie zastanawiał, lecz teraz wiedział, że delikatna, niemal eteryczna uroda Magnolii,

dodałaby nowego blasku kobietom z rodu Burnów i szlachetnych rysów męskim potomkom.

Lecz stanie się tak tylko wtedy, gdy Magnolia będzie jego żoną naprawdę, a nie tylko na papierze.

Poczuł gwałtowny przypływ uczuć.

Pragnął jej! Chciał tulić ją do siebie, czuć, jak drży nie ze strachu, lecz z podniecenia. Miał ochotę wyjąć jej spinki z włosów i pozwolić, by luźno opadły jej na ramiona.

Potem pragnął ją całować, poddać jej delikatne, niewinne usta swoim wargom.

Księżę odepchnął szklaneczkę, jakby targające nim uczucia nie potrzebowały dodatkowego wzmocnienia.

Po chwili, gdy postanowił dołączyć do Magnolii i spróbować wykorzenić z niej strach, jaki w niej wzbudził, usłyszał za drzwiami kroki.

Wiedział, że wróciła do swej kabiny i że już nie zobaczy jej tego wieczora.

Następnego dnia księżę czuł, że znów powstał między nimi mur, który już zniknął, od kiedy wyjechali z Villefranche.

Dlatego zmuszał się, by zabawnie i beztrosko rozmawiać o wielu innych sprawach, nie robiąc aluzji do tego, co powiedział zeszłej nocy podczas kolacji.

Pod koniec dnia wydawało mu się, że w jej oczach znów widział zaufanie, że zapomniała o swym strachu.

Nie mógł jednak być pewien.

Wiedząc, co do niej czuje, dostrzegał, jak z każdym zwróceniem głowy, każdym gestem dłoni, każdym promykiem słońca, rozbłyskującego w jej włosach, staje się coraz piękniejsza.

To wrażenie trwało, rozwijało się w miarę upływu dni, aż dotarli do wybrzeży Włoch i ruszyli w podróż przez Morze Jońskie.

To wtedy, gdy popołudniami panował skwar, który pozwalał jedynie odpoczywać pod namiotem, rozpostartym nad pokładem, książę przyznał się przed sobą, że jest zakochany bez pamięci.

Nie spodziewał się tego i dopiero teraz zdał sobie sprawę, iż rozpoczyna każdy dzień, z podnieceniem myśląc o tym, że ujrzy Magnolię.

Spała tuż obok, za ścianą, w sąsiedniej kabinie, a on spędzał bezsenne noce, bo był sam.

Musiał przyznać, że to miłość, skoro darzył swą żonę uczuciem, jakiego nigdy nie doświadczył w stosunku do żadnej kobiety.

To miłość sprawiała, że pulsowały mu skronie, a usta schły z tęsknoty do jej pocałunków, lecz i za sprawą miłości czuł, że pożądał jej nie tylko jako kobiety, ale że zajęła jego wszystkie myśli, nie pozostawiając miejsca na nic innego.

Nie potrafił skupić się na nikim poza nią. Pragnął nie tylko dotykać ją i tulić, lecz chciał słyszeć jej radosny, niemal dziecięcy, dźwięczny śmiech i miękkość w głosie, gdy z nim rozmawiała.

Mówiła niemal czystym, klasycznym angielskim i książę pomyślał, że miała szerszy zasób słów niż każda inna kobieta, którą znał.

Uwielbiał jej poczucie humoru, sposób, w jaki go oszukiwała, spoglądając potem z obawą, gdy nie zrozumiał żartu i był zgorszony jej słowami.

- Kocham ją! Cholera! Naprawdę kocham! - mówił gwiazdom i czuł się tak, jakby umierał, stojąc tak samotnie, gdy chciałby mieć Magnolię u swego boku.

Gdy minęli Cieśninę Mesyńską i skierowali się w stronę Grecji, byli już małżeństwem od ponad trzech tygodni.

- Którą wyspę najpierw odwiedzimy? - zapytała Magnolia, gdy wyruszyli z Mesyny, dokąd zawinęli na prośbę

kapitana, który chciał dokonać kilku drobnych napraw na jachcie.

Z radością zwiedziła skrawek Sycylii, lecz książe wiedział, że bardziej niż cokolwiek innego, cieszyła ją myśl o odwiedzeniu wysp greckich.

Wciąż dyskutowali o bogach i boginiach, których postaci związane były z poszczególnymi wyspami, i próbowali zaskoczyć się nawzajem cytatami z lorda Byrona, póki książe nie przyznał, że Magnolia lepiej poruszała się na polu poezji niż on.

- Sądzę - odpowiedział na jej pytanie - że najpierw popłyniemy na Korfu.

- Kerkyra - poprawiła go Magnolia.

- Chcesz mi powiedzieć - zapytał - że mamy rozmawiać po grecku? Stawiasz mnie w niekorzystnej sytuacji.

- Chyba się uczyłeś greki?

- Bardzo dawno temu.

- Więc musisz sobie przypomnieć - powiedziała stanowczo. - Bez względu na wszystko, chcę rozumieć, co Grecy będą do nas mówili. Jedna z moich guwernantek nauczyła mnie podstaw nowoczesnej greki.

Gdy tak rozmawiali, pojawił się steward i powiedział, że kapitan prosi o rozmowę z księciem.

- O co chodzi? - zapytał książe, gdy dołączył na mostku do kapitana.

- Jeśli pozwolisz, jaśnie panie - powiedział kapitan, - chciałbym przybić do portu na stałym lądzie, zanim wyruszymy w dalszą podróż.

- Co się stało?

- Nowe wyposażenie, które założyliśmy w Mesynie, nie jest tak dobrze dopasowane; jak powinno być. To kwestia zaledwie dwóch, trzech godzin pracy, ale nie chciałbym

płynąć dalej, póki wszystko nie będzie funkcjonować jak należy.

- Oczywiście, rozumiem - zgodził się książę.

- Proponuję, jaśnie panie, byśmy przybili do brzegu w jednej z wielu zatoczek na wybrzeżu. Ludzie zaczną pracę o świcie i będziemy mogli wyruszyć na Korfu około południa.

- Znakomicie! - zgodził się książę. Wrócił, by oznajmić nowinę Magnolii, a ona radośnie zawołała:

- To znaczy, że choć tylko kilka godzin, ale będziemy w Albanii! Odwiedzę kolejny kraj.

- Zliczasz je?

- Oczywiście! Muszę ci dorównać, a jeśli dobrze policzyłam, dotychczas wspomniałeś o pobytach w co najmniej piętnastu krajach, zaś ja byłam tylko w czterech, a może pięciu?

- Musisz dopisać Albanie do tej listy - odparł książę. - Nie jest może zbyt piękna, choć ma imponujące góry, a o tej porze roku także i wspaniałe kwiaty.

- Nie zniechęcaj mnie, zanim w ogóle się tam znajdę! - skarciła go Magnolia i oboje parsknęli śmiechem.

Następnego dnia jacht stał już zakotwiczony, a książę, słysząc, iż Magnolia jak zwykle wstała skoro świt, pomyślał, że i on powinien to zrobić.

Odnalazł ją na pokładzie, a ponieważ chciała wyjść na ląd tak szybko, jak to możliwe, zarządził wcześniejsze śniadanie.

Gdy płynęli na brzeg, powietrze było chłodne i czyste, a słońce nie grzało jeszcze bardzo mocno.

Magnolia wyskoczyła z łodzi na piach.

- Albania! - wykrzyknęła triumfalnie. - Teraz naprawdę jest na mojej liście!

- Dzięki Ci, Boże! - odparł książę. - Więc nie musimy iść dalej!

- Mam zamiar zdobyć szczyt tej skały. Księżę zauważył, że marynarze, którzy przywieźli ich z jachtu, czekają na kolejne polecenia.

- Wróćcie po nas za półtorej godziny - polecił.

- Tak jest, jaśnie panie!

Księżę odwrócił się i ruszył za żoną, która już wspinała się ścieżką, prowadzącą z zatoki w górę.

Droga na szczyt skały była kręta, kamienista i stroma, po południowej stronie rozciągał się widok na falujące pagórki, zaś na północy ostrą granicą zaczynały się góry.

Ich niższe partie pokrywały lasy, znad których wystawały obnażone szczyty, odcinające swe sylwetki na tle błękitu nieba.

Panorama była urzekająca i Magnolia krzyknęła radośnie na widok tylu gatunków kwiatów ukrytych w gęstej trawie.

Ruszyli ścieżką, która kierowała się na północ, i wkrótce znaleźli się w gęstwinie drzew.

Księżę miał nadzieję, że Magnolia będzie miała okazję zobaczyć kilka dzikich zwierząt, które, jak wiedział, żyły w albańskich górach, lecz choć napotkali mnóstwo zajęcy, a nawet małego jelonka, nie było śladu po górskich kozłach, tak charakterystycznych dla tego kraju.

Lecz ona cieszyła się tym, co widziała. Wtem zatrzymała się i powiedziała:

- Ależ jestem głupia! Dopiero teraz pomyślałam, że powinniśmy zabrać ze sobą aparat fotograficzny.

- Ja też o tym nie pomyślałem - odrzekł księżę. - Może w sklepie znajdziemy jakiś nowoczesny i łatwy w obsłudze. To będzie piękna pamiątka z naszego miesiąca miodowego.

- Zwłaszcza tacie chciałabym pokazać, gdzie byliśmy - wyjaśniła Magnolia. - To dlatego jestem taka zła, że nie pomyślałam o tym wcześniej.

- Na pewno kupimy aparat, gdy dotrzemy do Aten - pocieszył ją książę.

- Możemy? Spojrzała na niego radośnie.

- Przynajmniej spróbujemy.

- Pomyśl, jaka panorama rozciąga się ze szczytu tych gór!

- Mam nadzieję, że to nie jest propozycja wspinaczki z aparatem czy bez niego? - pospiesznie powiedział książę.

- Chciałabym wejść trochę wyżej - odparła Magnolia. - Mielibyśmy stamtąd cudowny widok.

- Dobrze - zgodził się książę - ale nie chciałbym, byś się przemęczyła.

- Nie jestem zmęczona - odrzekła Magnolia - poza tym przez ostatnie tygodnie, chodząc po pokładzie, mieliśmy bardzo mało ruchu.

- To prawda - przyznał. - Gdy dopłyniemy do Grecji, zamierzam codziennie pływać.

Magnolia krzyknęła stłumionym głosem.

- Czy ja też bym mogła?

- A potrafisz?

- Zawsze pływałam w basenie, który był w jednym z naszych domów, więc, jeśli to miałeś na myśli, nie utopię się.

- Zdziwiasz mnie.

Potem pomyślał, że nie było w tym nic dziwnego. Mógł się spodziewać takiej rzeczy po Amerykance, podczas gdy angielskie damy były zbyt skromne, by nawet prywatnie pokazywać się w kostiumie kąpielowym.

- Proszę, pozwól mi pływać, gdy będziemy w Grecji - błagalnym tonem prosiła Magnolia.

- Jestem bardzo ciekaw, jak sobie radzisz - odrzekł książę.

Magnolia uśmiechnęła się do niego tak uroczo, że musiał zapanować nad sobą, by nie objąć jej ramieniem i powiedzieć, że zrobi dla niej wszystko, byle tylko zawsze wyglądała na tak szczęśliwą, jak w tej chwili.

Przemógł się i skwitował to pospolitą uwagą o ptaku, który wyrwał się z krzewów na ich widok.

Gdy wreszcie odpoczywali przez chwilę pod drzewem, podziwiając widoki, książę zauważył, że minęła już cała godzina, odkąd opuścili jacht i zaproponował, by ruszyli w drogę powrotną.

- Kapitan będzie się o nas niepokoił.

- Tu jest tak pięknie i spokojnie - odparła Magnolia. - Chyba chciałabym wybudować tu dom. Potem moglibyśmy uciec od wszystkiego. i wszystkich.

- To jest pomysł - zgodził się książę - lecz pewnie znudziłabyś się po jakimś czasie.

Przez chwilę przyglądała mu się z namysłem, a potem odparła:

- Nie, jeśli wciąż opowiadałbyś mi o rzeczach, które robiłeś, i o miejscach, które odwiedziłeś.

- Do tego czasu doszlibyśmy już do moich planów na przyszłość - odparł książę.

- A jakie masz plany? - zapytała Magnolia. Już miał zamiar odpowiedzieć, gdy nagle z drzew, za ich plecami, dobiegł ich szelest, a gdy książę odwrócił głowę, by spojrzeć w tamtym kierunku, ku swemu zdziwieniu ujrzał kilku nadchodzących tubylców.

Mieli długie włosy i wąsy, i nosili długie, przestarzałe muszkiety.

Książę odruchowo podniósł się, Magnolia postąpiła za nim, a gdy obcy podeszli bliżej, wyciągnęła rękę i chwyciła go za ramię.

Książę wiedział, że musi być przerażona, bo zauważył, że za szerokimi pasami tubylcy mieli zatknięte pałasze i noże, które zawsze kojarzyły mu się z bandytami.

Na dodatek wiedział, że nawet zwykli Albańczycy, nie tylko kryminaliści, często walczyli między sobą i napadali swoich sąsiadów.

Zanim zdolali się ruszyć, książę dostrzegł, że ci ludzie, a była ich spora grupa, otoczyli ich.

Właśnie zastanawiał się, czy mógłby uciec z Magnolią pomiędzy drzewami, gdy jeden z tubylców starszy, wyższy i najwyraźniej cieszący się poważaniem pozostałych, odezwał się niemal niezrozumiałą angielszczyzną:

- Wy... mieć... wielki statek?

Wskazał palcem w kierunku jachtu, a książę skinął głową.

- Tak.

Usta mężczyzny, przykryte sumiatymi wąsami, wykrzywiły się w uśmiechu, gdy odpowiedział:

- Dobrze! Wy pójść... z nami!

- Dlaczego? - zapytał książę. - Właśnie wracaliśmy na mój jacht.

- Wy... pójść... z nami! - powtórzył.

Nie ulegało wątpliwości, że mówił poważnie, ludzie zaś, którzy byli z nim, zbliżyli się do księcia, a jeden z nich położył mu rękę na ramieniu i popchnął.

Magnolia krzyknęła cicho i wsunawszy jedną dłoń między palce księcia, drugą uczepliła się jego ramienia.

- Czego oni chcą? Dokąd nas zabierają? - zapytała.

- Nie wiem - odpowiedział książę - lecz obawiam się, że musimy ich posłuchać.

Mówiąc te słowa, sądził, że zna zamiary tych ludzi. Dręczyło go przeczucie, że zostali porwani dla okupu.

Wtedy, ku jego zaskoczeniu, Magnolia, wciąż ściskając jego dłoń, zwróciła się do nich po grecku.

- Czego chcecie? Dokąd nas zabieracie? - zapytała spokojnym tonem.

Mężczyźni zatrzymali się i słuchali jej w milczeniu. Potem ich dowódca, ten który mówił do nich wcześniej, odpowiedział jej łamanym pół greckim, pół albańskim, mieszanką jeszcze mniej rozumiałą niż jego angielszczyzna.

Książę nie rozumiał ani słowa, lecz po jego słowach, gdy znów ruszyli ścieżką pomiędzy drzewami oddalając się od jachtu, Magnolia powiedziała:

- Trudno mi było go zrozumieć, ale sądzę, że jesteśmy ich więźniami i że zamierzają nas wymienić na... nie wiem kogo.

- Zapytaj go, ile pieniędzy chce za uwolnienie nas - ostrym tonem powiedział książę.

Magnolia wypełniła jego polecenie, lecz teraz nawet się nie zatrzymali, a idący przed nimi dowódca bandy tylko, w oczywisty sposób, pokręcił głową, dając im prostą odpowiedź, chociaż minęło sporo czasu, zanim usłyszeli: „Nie!”

- To nie pieniędzy chcą - powiedziała Magnolia, gdy przestał mówić.

- Więc czego?

I znowu zadała pytanie, a odpowiedź była jeszcze dłuższa niż poprzednia:

- Chociaż słabo go rozumiałam - zwróciła się do księcia Magnolia - sądzę, że zabrali nas jako zakładników za ich dwóch „braci”, czyli chyba członków ich bandy, którzy mają zostać powieszani w Atenach.

- Ateny! - wykrzyknął książę. - Chcesz powiedzieć, że będą nas więzić, póki nas nie wymienią na dwóch kryminalistów?

- Na pewno to miał na myśli.

- Powiedz mu... - zaczął książę i umilkł.

Zastanawiał się, jakimi straszliwymi konsekwencjami mógłby zagrozić, gdyby nie zostali natychmiast uwolnieni.

Zbyt późno pomyślał, że szczytem głupoty z jego strony było wyjście na ląd w obcym kraju, bez należytej ochrony.

Teraz przypomniał sobie, że słyszał o potężnych albańskich bandytach, którzy, choć w gazetach i pismach wydawali się romantycznymi wojownikami, w rzeczywistości mogli się okazać dzikimi, okrutnymi kryminalistami.

Gdyby byli polikaranami (polikaranie - greckie oddziały nieregularnej armii tureckiej, które, rozpuszczone przez Turków, podjęły walkę partyzancką na terenie Grecji.), byłiby sławni. Książę pamiętał, że czytał o kłopotach, jakie miał z nimi Otton I (Otton 1 - (1815 - 1867), z dynastii Wittelsbachów, syn księcia Bawarii Ludwika I, król Grecji w latach 1832 - 1864. W 1843 roku został zmuszony do nadania Grecji konstytucji, utworzenia parlamentu i usunięcia z kraju wojsk bawarskich. Został zdetronizowany w wyniku powstania, w którym uczestniczyli m.in. polikaranie.), gdy był królem Grecji.

To mógł być ten albo zupełnie inny gang, lecz jakkolwiek się nazywali, książę był przekonany, że status ich więźniów wiązał się nie tylko z niewygodami, ale i niebezpieczeństwem.

Pomyślał, że gdyby był sam, mógłby znaleźć okazję do wszczęcia walki albo przechytrzenia ich i ucieczki, lecz w towarzystwie Magnolii nie pozostało mu nic innego, jak wypełniać ich rozkazy.

Wędrowali tak około pół godziny, dopóki gąszcz drzew się nie rozrzedził, a ich oczom ukazało się coś, co mogło być ruinami wsi.

Zbudowano ją na samym skraju góry, której szczyt wznosił się nad zabudowaniami, a książę zauważył, że została opuszczona, ponieważ doszło do osunięcia się ziemi, które zniszczyło co najmniej połowę wioski, pozostawiając resztę domów w fatalnym stanie.

Żaden rozsądny człowiek nie porwałby się na przetrwanie tu zimy z charakterystycznymi dla tutejszego klimatu ulewami, przypyływami i lawinami.

Prowadzono ich pomiędzy kawałkami potłuczonych cegieł i kamieni, raniących stopy Magnolii, aż bandyci zatrzymali się przed wysokim, jedynie w połowie zniszczonym budynkiem, którego część pozostała nienaruszona.

Potężne drzwi stały otworem, a gdy ksiązę zawahał się przed wejściem, został wepchnięty do środka, a stamtąd, z Magnolią uwieszoną u jego ramienia, przez kolejne drzwi do pomieszczenia, które sprawiało wrażenie długiej, wysokiej, pozbawionej okien komórki.

Wtedy przywódca bandy wygłosił mowę. Przemawiając zwracał się do Magnolii, wiedząc, że raczej ona, niż ksiązę, go zrozumie.

Raz czy dwa przerwała mu, by zadać pytanie, a on niecierpliwie mówił dalej, aż wreszcie zwrócił się do księcia po angielsku:

- Wy zostać... nasi bracia nie wrócić... wy zginąć!

Potem zostawił ich, zatraskując za sobą drzwi, które, sądząc z hałasu, jakiego narobiły, były wykonane ze stali. Kilka minut później usłyszeli stuk zatraskiwania zewnętrznych drzwi.

Zapadła cisza.

Magnolia z przerażeniem spoglądała na zamknięte wyjście, a ksiązę rzekł cicho i spokojnie:

- Powiedz mi, co on mówił.

- Powiedział chyba - odparła zmienionym głosem - że chodzi o dwóch ludzi, których... zabrano do... Aten, by... osądzić ich za... dokonane przez nich... przestępstwa, że... oni chcą wymienić nas za... nich... jeśli... sędziowie się zgodzą... a jeśli... nie... my... zginjemy!

Głos jej drżał tak, że ledwo wypowiedziała ostatnie słowa, a ksiązę odparł:

- Musi minąć trochę czasu, zanim dotrą do Aten i przekonają władze, że trzymają nas jako zakładników, więc, Magnolio, my musimy spróbować ucieczki.

- Jak... jak mamy to... zrobić? - zapytała Magnolia.

Przy tych słowach z rozpaczą rozejrzała się wokoło, a książę pomyślał, że to dobre pytanie.

- Wydaje mi się, że jesteśmy w czymś, co w wiosce służyło za więzienie - powiedział.

Z pewnością nie najładniejsze więzienie. Ściany celi, w której się znaleźli, całe były pogryzmołone przez ostatnich więźniów, a tynk odpadł, tak że pozostały tylko gołe cegły.

Popatrzył na sufit, który nie sprawiał wrażenia, iż mógłby ich uchronić przed deszczem, a wysoko, poza ich zasięgiem, było małe okienko.

Na jednej ze ścian widniało wejście, a gdy książę zbliżył się do niego, zobaczył, że kiedyś była to albo kuchnia, albo umywalnia dla więźniów.

Lecz teraz zniknęły już stąd i beczki na wodę, i wszelkie inne wyposażenie, i tylko na podłogę porośniętą mchem i grzybem, sączyła się ze ściany rdzawa woda.

W pomieszczeniu nie było światła, a gdy wrócił do celi, zauważył, że przy ścianach stały dwie twarde ławy, mogące służyć za łóżka, lecz nie było ani materacy, ani żadnych innych sprzętów.

Magnolia obserwowała go, gdy tak chodził w kółko, aż wreszcie zapytała:

- Jak... jak mamy tu... zostać? Proszę... znajdź... wyjście!

Gdyby książę nie był tak niespokojny, zapewne pochlebiałoby mu, że zwraca się do niego o ratunek.

Jedynym problemem było to, że on nie miał pojęcia, jak tego dokonać.

Ostrożnie, zastanawiając się, czy utrzyma jego ciężar, usiadł na jednej z ław, lecz była ona solidna, wykonana z

płaskiej drewnianej beli, bezpiecznie wspartej na trzech palach wystających ze ściany.

Była tak mocna, że przetrwała zniszczenie wsi, gdy wiele innych przedmiotów, a nawet domów, zawaliło się.

Wyciągnął rękę do Magnolii.

- Chodź i usiądź, zanim coś wymyślę - powiedział. - To była daleka droga, a kapitan jachtu niedługo zacznie się niepokoić, dlatego nie wróciliśmy.

- Ale... jak nas... znajdzie? - zapytała. Książę pomyślał, że nie jest to niemożliwe. Może się jednak zdarzyć, że gdy kapitan i załoga będą próbowali ich uwolnić, bandyci zaczną do nich strzelać, a mają oni tę przewagę, iż znają teren. Przez jakiś czas rozmyślał, a potem rzekł:

- Gdy wchodziliśmy, widziałas, jak zbudowane jest to miejsce. Wydaje mi się, że skoro z jednej strony jest stromy spadek, bandyci nie będą tam tak dokładnie pilnować, bo nie będą podejrzewać, że moglibyśmy uciec tamtędy. Dlatego musimy jakoś tego dokonać.

- Ale jak? Jak? - zapytała Magnolia.

- Muszę to zbadać - odparł cicho książę. - Proponuję, żebyś usiadła tak wygodnie, jak tylko możesz i uniosła stopy. W nocy może nas czekać kolejna niewygodna wędrówka.

Wypowiadając te słowa, wiedział, że nie będzie to łatwe, a szczerze mówiąc, nawet bardzo trudne, zwłaszcza że musiał ochraniać Magnolię przed tymi ludźmi, którzy bez wątpienia potraktują ich bardzo brutalnie, gdy odkryją, że istniała szansa ucieczki.

Potem pomyślał, że skoro zdołał uciec z kilku niezwykle poważnych opresji na północno - zachodnim froncie, nie powinien mieć kłopotów z wymknięciem się kilku albańskim bandytom, którzy, jak sądził, w swym wyizolowanym państwie, nie mogli mieć wielkiego doświadczenia w przetrzymywaniu zakładników.

Magnolia obserwowała go szeroko otwartymi oczami, gdy początkowo, siedząc, spoglądał na małe okienko u szczytu celi, aż wreszcie podniósł się i przeszedł do ciemnej, niskiej umywalni. Pochylony, przyglądał się podłodze, a potem obmacywał ścianę poniżej rdzawego wycieku.

Gdy wrócił, uśmiechał się.

- Czy coś... znalazłeś? - zapytała.

- Mogę się mylić - odparł - i na próżno rozbudzać twe nadzieje, ale ściana za tymi drzwiami nie jest tak gruba jak te tutaj. Prawdę mówiąc, latami niszczona przez sączącą się wodę, powinna być łatwa do wypchnięcia. - Magnolia wydała cichy okrzyk, a on mówił dalej. - Lecz musimy być ostrożni, bardzo ostrożni, żeby nikt nas nie zauważył, bo jeśli strażnicy zostaną ostrzeżeni, zwiążą nas.

Magnolia krzyknęła z przerażenia i wyciągnęła do niego rękę.

- Proszę... nie pozwól... nie pozwól im tego... zrobić! Bałabym się... bardzo... bała, gdyby... gdyby ci to zrobili.

- Jeśli wrócą, a wydaje mi się, że tak będzie, musimy sprawiać wrażenie pogodzonych z naszym losem. Poza tym, pozwól, Magnolio, że powiem, jak bardzo jest mi przykro.

- Dlaczego?

- Dlatego, że byłem tak zarozumiały, iż sądziłem, że sam, bez twojej ochrony, potrafię o ciebie zadbać.

Spoglądała na niego przez chwilę, jakby nie dowierzając, że mówi to poważnie, a potem odparła:

- Chyba już wiesz, że ani ja osobiście, ani moje pieniądze, w ogóle ich nie interesujemy? To ty jesteś dla nich ważny, bo masz, jak go nazwali, „wielki statek”. Gdy zaproponowałam im milion dolarów lub funtów za uwolnienie nas, odpowiedzieli, że nie chcą pieniędzy.

Roześmiała się cicho.

- Mama byłaby zrozpaczona! To pierwszy raz, gdy nasze dolary są całkiem bezużyteczne i nie możemy za nie dostać tego, co chcemy!

Magnolia wyglądała na tak rozbawioną, że i księżę się roześmiał.

- To na pewno pouczająca lekcja - zgodził się - z której musimy wysnuć odpowiednie wnioski.

- A jakie są te wnioski?

- Że musimy polegać na nas i naszym rozumie - odparł księżę. - A to, Magnolio, oznacza, że ty i ja jesteśmy zmuszeni zrobić coś wspólnie.

Zaśmiała się, jakby ją to rozbawiło. Potem, gdy jej wzrok napotkał spojrzenie księcia, nie mogli oderwać od siebie oczu.

Rozdział 7

Magnolia stała przy drzwiach, nasłuchując.

Lecz słyszała tylko księcia, który w małej umywalni, obiema nogami uderzał w ścianę.

Wiedziała, że aby to zrobić, musiał się położyć na ziemi, a zdjawszy płaszcz, by stłumić hałas, ze wszystkich sił starał się sforsować zawilgocone cegły.

W prosty sposób wytłumaczył jej, co zamierza zrobić i Magnolia doskonale zdawała sobie sprawę, że jeśli ktoś ich usłyszy, nie będą mieli kolejnej szansy ucieczki, bo żeby zapobiec podobnym próbom w przyszłości, zostaną związani.

Nasłuchiwała i modliła się, a żarliwość jej modłów wyostrzyła wrażliwość na każdy dźwięk i dodała jasności jej myślom.

Mimo że książę był spokojny i małomówny, instynktownie wyczuwała jego niepokój, a to sprawiało, że narastający strach czasami ją obezwładniał.

Chciała być odważna; chciała, aby uważał, że panuje nad sobą, więc do zapadnięcia zmroku dobrze ukrywała swój lęk.

Teraz wiedziała, że albo powiedzie im się ucieczka, albo zostaną zakładnikami i być może zginą, gdy tamci bandyci zostaną powieszani w Atenach.

Nagle spłoszył ją dudniący hałas i już wiedziała, że książę musiał zniszczyć część ściany, a to, co usłyszała, było łomotem kamieni, toczących się po skalnej ścianie.

Wstrzymała oddech.

Jeśli bandyci też to usłyszeli, zaraz wpadną tu jak burza.

Jakieś dwie godziny temu przynieśli im razowy, czarny chleb, ser i butelkę wina, lecz nie pojawił się ich dowódca, a gdy Magnolia próbowała ich zagadnąć, nie otrzymała żadnej odpowiedzi.

Tylko spoglądali na nią ciekawie, w tak nieprzyjemny sposób, że cofnęła się do księcia.

Powiedzieli coś, co musiało być wulgarne i impertynenckie, i czego Magnolia na szczęście nie zrozumiała, i odeszli, zatrzasnąwszy i zamykając na klucz drzwi.

Czekała, lecz bandyci nie wykonali żadnego ruchu, a po kilku minutach poczuła przy sobie obecność księcia.

Ruszyła po omacku w jego stronę, aż go dotknęła.

- Teraz posłuchaj mnie... - powiedział poważnym, głębokim głosem.

Magnolia nigdy nie była w stanie nawet myśleć o tej strasznej chwili, gdy wypełniając polecenia księcia, przeczołgała się przez dziurę w ścianie umywalni, by znaleźć się tuż nad przepaścią sięgającą tysiące stóp w dół.

- Nie patrz na dół! - rozkazał jej książę. - Wstań powoli, twarzą do ściany i trzymaj się jej obiema rękami.

Powiedział, jak powoli, bardzo powoli ma się przesuwać po występie skalnym, gdzie jeden fałszywy ruch oznaczał niechybną śmierć.

Zanim wyszli z celi, kazał jej zdjąć buty, by stopy lepiej trzymały się skały.

Wydawało się, że trwało to godzinami, choć w rzeczywistości nie minęło więcej niż cztery czy pięć minut, gdy krok za krokiem, okrążyła ścianę więzienia.

Chociaż półka, po której się poruszali, była już nieco szersza, pod nimi wciąż rozciągała się przerażająca przepaść.

- Idź! - szeptem polecił jej książę. - Nie patrz w dół. Tak blisko jak możesz przysuń się do ściany. Już niedaleko.

Mówił tak władcym tonem, że automatycznie postępowała za jego głosem, choć ze strachu serce waliło jej w piersi i zaschło w ustach.

Gdy półka się skończyła, książę kazał jej się zatrzymać, a sam zszedł o kilka stóp.

Potem, chociaż zabronił jej patrzeć, w świetle księżycy Magnolia zauważyła, że zanim dotrą do, jak jej się wydawało,

bezpiecznego lasu, muszą minąć szczelinę powstałą po osunięciu się ziemi.

Poczuła, że książkę zdejmuje ją delikatnie z półki i stawia obok siebie. Potem głosem, który ledwie mogła usłyszeć, wyszeptał:

- Przeniosę cię, przerzuconą przez moje ramię. Będzie ci niewygodnie, ale to najbezpieczniejszy sposób. Zaufaj mi.

Chciała odpowiedzieć, ale nie wiedziała dlaczego, nie mogła. Bała się, że książkę zauważy, jak szczeka zębami.

Nie czekając ani chwili, podniósł ją, jak strażak przerzucił sobie przez ramię i ruszył przez urwisko, badając stopą grunt przed każdym kolejnym krokiem i jedną ręką przytrzymując się skały.

Tylko raz w czasie tego niebezpiecznego przejścia, Magnolia otworzyła oczy, a gdy zobaczyła, co leży pod nimi, musiała stłumić krzyk przerażenia, dobywający się z jej gardła.

Potem, gdy myślała, że książkę na pewno upadnie i oboje zginą, on, przytrzymując się krzewów otaczających rozpadlinę, już wspinał się na drugi, bezpieczny dla nich, brzeg urwiska, i gdy Magnolia odważyła się znów otworzyć oczy, znajdowali się w cieniu drzew.

Postawił ją delikatnie na ziemi. Potem, gdy nie była zdolna do najmniejszego ruchu i łapiąc oddech, oparła głowę na jego ramieniu, powiedział:

- Musimy stąd szybko uciekać! Możliwe, że poczujesz uderzenia krwi do głowy, ale zamierzam cię przenieść w ten sam sposób, póki nie dotrzemy do miejsca, gdzie nie poranisz sobie stóp idąc bez butów.

Nie odpowiedziała, bo nie potrafiła znaleźć słów, więc znowu przerzucił ją sobie przez lewe ramię, przytrzymał silnym uściskiem i ruszył biegiem.

Nie spodziewała się, że biega tak lekko ani że jest tak silny, iż ciężar jej ciała nie opóźniał ucieczki.

Obijała się o niego, lecz ta niewygodność była niczym w porównaniu z faktem, że byli wolni i, jeśli dopisze im szczęście, bezpieczni znajdą się na jachcie, zanim porywacze zorientują się, co zaszło.

Książę biegł, czasami potykając się, czasami ślizgając na obłuzowanych kamieniach, ale wciąż ostrożnie ją trzymając, aż niespodziewanie się zatrzymał i postawił ją na ziemi.

- Co się... stało?

Ledwie mogła mówić, bo czuła, że od tych uderzeń krwi kręci jej się w głowie. Była przerażona perspektywą nowego, nieoczekiwanego zagrożenia.

- W porządku? - zapytał książę. - Musiało ci być potwornie niewygodnie, gdy tak cię niosłem.

- Nic... mi nie jest - odparła Magnolia, z trudem łapiąc oddech. - Błagam... błagam cię... idźmy już, bo... mogą nas... gonić.

Książę odruchowo popatrzył przez ramię w zamykającą się za nimi ciemność. W świetle księżyca, mogli dojrzeć między drzewami dach ich więzienia.

Wydawało się, że jest daleko od nich, ale od jachtu wciąż dzieliła ich spora odległość.

- Proszę... pospieszmy się - błagała Magnolia. - Już mogę... sama biec.

- Droga jest za bardzo kamienista - odparł książę.

Wziął ją na ręce, tym razem trzymając przed sobą.

Magnolia próbowała zaprotestować, że sobie poradzi, ale jego bliskość i to, że mogła dotykać policzkiem cienkiej koszuli, czując ciepło jego ciała, wzbudziły w niej dziwne uczucie, jakiego nigdy przedtem nie знаła.

Obejmując ją mocno, znów ruszył biegiem, a Magnolia wiedziała, że jest bezpieczna, bo jest blisko niego. Choć tego

nie rozumiała, zniknął jej strach, a pojawiło się uczucie szczęścia.

Była taka radosna, że odruchowo zarzuciła mu lewą rękę na szyję, by łatwiej mu było ją nieść.

Podejrzewając, że to ze strachu, powiedział, z nutą triumfu w głosie:

- Nie bój się. Wygraliśmy. Już teraz nas nie dogonią.

Nie zdążył dokończyć, gdy usłyszeli daleko za sobą nawoływania, więc, jakby wiedział, że zbyt pochopnie wypowiedział te słowa, ksiązę przyspieszył, a Magnolia, nagle znów przerażona, przyłgnęła do niego

Nie przegraj! Nie w ostatniej chwili! Nie mogli być znów pojmani po tak niebezpiecznej, przerażającej ucieczce, wzdłuż ściany więzienia.

W panice pomyślała, że głosy stają się coraz głośniejsze, aż w nocnej ciszy rozległ się jeden, a po nim kilka następnych wystrzałów.

Usłyszała krzyk księcia, a po chwili ujrzeli przed sobą światła dwóch lamp. Gdy się do nich zbliżyli, Magnolia zobaczyła, że niesie je dwóch członków załogi.

Gdy ksiązę do nich dotarł, usłyszeli znajomy głos:

- Strasznie się martwiliśmy, jaśnie panie. Myśleliśmy, że może zdarzył się państwu wypadek.

- Gorzej - odparł ksiązę. - Zabierzcie nas na statek tak szybko, jak to możliwe. Nie ma czasu do stracenia.

Jeden z marynarzy pobiegł przed nimi, krętą, skalną ścieżką, prowadzącą na plażę, drugi ruszył za nimi.

Łódź czekała w piaszczystej zatoce i ksiązę umieścił w niej Magnolię, a potem pomógł marynarzom zepchnąć ją na wodę.

Światła jachtu były najgoręcej oczekiwanym widokiem, jaki kiedykolwiek udało się Magnolii zobaczyć, lecz gdy

marynarze zaczęli wiosłować, nagle na szczycie skały rozległy się wrzaski.

Magnolia krzyknęła przerażona, gdy obejrzawszy się, ujrzała na tle wygwieżdzonego nieba sylwetki bandytów.

- Szybciej! - rozkazał książę. - Mogą do nas strzelać!

Nie zdążył skończyć, gdy rozległ się huk wystrzału, skierowanego w ich stronę.

Kula przeleciała daleko od nich, ale już po chwili, na polecenie księcia, okrążyli jacht i znaleźli się poza widokiem bandytów.

Z jachtu spuszczone sznurową drabinę i Magnolia wdrapała się po niej na pokład.

Stała bezradnie, drżąc ze strachu, póki książę nie dołączył do niej. Wziął ją na ręce, mówiąc:

- Kapitanie Briggs! Na morze! Natychmiast! Czy na pokładzie jest jakaś broń?

- Kilka sportowych pistoletów, jaśnie panie.

- Wyjąć! - rozkazał książę.

Zaniósł Magnolię do salonu i położył na najbliższej sofie.

Gdy chciał wyjść, wyciągnęła ku niemu ręce, krzycząc rozpaczliwie:

- Nie... nie... opuszczaj... mnie! Oni... mogą.. -

Jej słowa trafiły w pustkę, bo książę już wybiegł z salonu i Magnolia usłyszała jego głos, gdy pytał o broń.

Potem nagle pomyślała z przerażeniem, że bandyci mogą go zastrzelić, zanim jacht zdoła odpłynąć tak daleko, by znaleźć się poza ich zasięgiem.

W świetle iluminatorów i lamp, oświetlających pokład, książę był łatwym celem, a jeśli zginie...

Sama ta myśl spowodowała, że zaniósła się płaczem. Nagle rozległ się huk wystrzałów z nabrzeża, potęgowany odpowiedzią z jachtu.

- Zginie! Ja... ja wiem, że... zginie! - mamrotała Magnolia i zemdląca...

Gdy się ocknęła, wydawało się jej, że minęło wiele czasu, lecz znaczenie miało tylko to, że już nie słyszała huku strzałów, a jedynie miarowy warkot pracujących silników.

Płynęli. Odpływali od bandytów, a Jarvis powiedział jej, że książę był cały, zdrowy i bezpieczny.

To właśnie Jarvis znalazł ją nieprzytomną i, jak później zauważyła, zaniósł do jej kabiny, ocucił brandy, pomógł się rozebrać i położyć do łóżka.

Była zbyt niespokojna o księcia, zbyt pochłonięta, a zarazem wyczerpana ostatnimi przeżyciami, by dostrzec w nim kogoś więcej niż nianię.

Tylko gdy usłyszała dochodzący z sąsiedniego korytarza głos księcia, zapytała niespokojnie:

- Czy jaśnie panu... nic się nie... stało?

- Zupełnie nic, jaśnie pani. Zaraz do niego pójde. Wydaje mi się, że potrzeba mu porządnej kąpieli. Potem powiem, że jaśnie pani chciałaby się z nim zobaczyć.

I wyszedł, nie czekając na odpowiedź.

Magnolia opadła na poduszki, myśląc, że głos księcia, dochodzący z sąsiedniej kabiny, był najmiłszym dźwiękiem, jaki słyszała w życiu.

Żył i był bezpieczny. Magnolia wiedziała, że już dłużej nie musi się bać, że mogą teraz spokojnie odpocząć po tym, co przeszli.

- Jest bezpieczny!

Te słowa same pojawiły się na jej ustach, a ona znów czuła, jakby trzymał ją przy sobie i słyszała bicie jego serca, kiedy biegł z nią ku wolności.

Podobały jej się jego silne ramiona i poczucie bezpieczeństwa, jakie jej dawał, gdy była przestraszona.

Wiedziała, że nie chce tego utracić.

Usłyszała za drzwiami śmiech księcia i zrozumiała, że go kocha!

Było to dla niej tak zaskakujące i nieoczekiwane, że na chwilę zamarła, sądząc, iż to niemożliwe.

Potem zrozumiała, że to samo uczucie ogarnęło ją, gdy w Nowym Jorku tańczyła z tamtym Anglikiem i gdy później pragnęła się z nim spotkać, lecz tym razem było ono zwielokrotnione, o wiele potężniejsze i ogarniało ją całą od czubka głowy aż po stopy.

- Ja go... Kocham! - powiedziała do siebie i zaraz pomyślała, że to nie może być prawda, że musi śnić.

Jak to się mogło stać?

Jak mogła pokochać mężczyznę, którego przedtem nienawidziła i którym pogardzała?

Lecz rozum odpowiedział jej, że miłość jest nieodgadniona.

Książę był nie tylko najbardziej przystojnym i atrakcyjnym, ale i najbardziej uprzejmym, delikatnym i opiekuńczym mężczyzną jakiego kiedykolwiek spotkała.

Była dość inteligentna, by zdać sobie sprawę, że żaden inny człowiek, nawet jej ojciec, nie byłby tak mądry, by sprawić, że nie krzycząc ze strachu, przeszła po kilkucentymetrowej szerokości półce skalnej, gdzie jeden fałszywy krok oznaczał niechybną śmierć.

Książę zdobył jej zaufanie, a poza tym, kochała go, i dlatego nie dopuszczała do siebie myśli, że jego plan mógł się nie powieść.

- Jest... wspaniały! Cudowny! - powiedziała do siebie i czuła, jak serce tłucze się jej w piersi, w zupełnie inny sposób, niż podczas ucieczki.

Drzwi jej kabiny otworzyły się, więc spojrzała na nie radośnie, lecz to był Jarvis, nie książę.

- Jaśnie pan pozdrawia jaśnie panią, lecz kucharz przygotował mu pożywną zupę i jaśnie pan pyta, czy może ją zjeść w towarzystwie jaśnie pani.

- Tak... oczywiście! - ochoczo zgodziła się Magnolia.

Jarvis zniknął, by za chwilę pojawić się z tacą, na której była waza zupy i filiżanki, a obok nich butelka szampana, chłodzącego się w wiaderku z lodem.

Ustawił to na stoliku przy łóżku, a Magnolia wiedziała, że ponieważ nie jest głodna, bo książę, by nie opadła z sił, kazał jej zjeść część z tego, co przynieśli porywacze, teraz będzie marudzić nad zupą, by dłużej zatrzymać go przy sobie.

- Jaśnie pan bierze kąpiel - oznajmił Jarvis i wyszedł z kabiny.

Gdy drzwi znowu się otworzyły, wszedł książę.

Magnolia wiedziała, że tak jak jej własna suknia, tak i jego ręce i ubranie, które miał na sobie podczas ucieczki, ubrudziły się i poplamiały zarówno w celi, jak i na skałach.

Teraz miał na sobie długi płaszcz z ciemnoniebieskiego atlasu i chusteczkę, przewiazaną na szyi niczym krawat. Magnolia pomyślała, że z wilgotnymi jeszcze po kąpielii włosami, przypomina jej trochę zblazowanego dandysa.

Była tak zadowolona, widząc go, że nie myślała o własnym wyglądzie.

Nie zdawała sobie sprawy, że na tle różowej draperii łóżka, ze swymi jasnymi włosami, spływającymi na ramiona, wyglądała uroczo i eterycznie a ogromne oczy, zdawały się wypełniać całą jej twarz.

- Dobrze się już czujesz? - zapytał głębokim głosem książę, zbliżając się do łóżka.

- Tak, dziękuję.

- Jarvis powiedział mi, że zemdłałaś.

- To głupie, ale... tak się bałam, że... że cię... zastrzelą.

Zapadła krótka cisza, po której książę zapytał:

- Myślałaś o mnie?

- Tak i... byłam pewna, że oni chcą... chcą cię zabić, bo... byłeś tak mądry, że... im uciekłeś.

- Cóż, przegrali! - odparł książę, z satysfakcją w głosie. - Na pewno zraniliśmy, a może i zabiliśmy dwóch z nich.

Mówiąc to, napełnił filiżankę zupą i podał jej. Potem nalał sobie.

Wypiła płyn, bo to on jej go podał, chociaż wcale nie była głodna, i po kilku łykach odstawiła filiżankę na stolik przy łóżku.

Kiedy książę zjadł zupę, zauważyła, że patrzy na nią. Onieśmielił ją jego wzrok.

- Jak mogłem przewidzieć, jak mogłem sobie wyobrazić, że zostaniemy wplątani w taką okropną historię?! Ale skoro uszliśmy z tego, jak sędzę, z honorem, możemy wznieść toast za nas samych.

Gdy to mówił, Jarvis wszedł do kabiny, by zabrać wazę i filiżanki, zostawiając tylko szampana.

Książę napełnił dwa kieliszki, podał jeden Magnolii, a drugi podniósł do góry.

Gdy jego wzrok napotkał jej spojrzenie, powiedział miękko:

- Za najodważniejszą kobietę, jaką znam! Magnolia czuła, jak się czerwieni, ale odpowiedziała:

- Za... najodważniejszego mężczyznę, który... mnie ocalił!
Jej oczy błyszczały, a czarne rzęsy odcinały się od jasnych policzków, gdy piła szampana.

Potem, z lekkim biciem serca dostrzegła, że książę usiadł przy niej na łóżku.

- Chcę ci powiedzieć - rzekł - że jesteś wspaniała. Nie przypuszczałem, że w tak przerażającej sytuacji kobieta może nie krzyczeć, nie płakać, nawet nie protestować czy narzekać.

Magnolia nigdy nie słyszała, by mówił w taki sposób i takim tonem, więc nie tylko się zawstydziała, ale łzy napłynęły jej do oczu.

To cudowne, że człowiek, który umożliwił tę ucieczkę, który poprowadził ją ku wolności, myślał o niej w ten sposób. Gdyby nie był tak silny, zostaliby schwytani i znajdowałiby się teraz w zupełnie innej sytuacji.

- To... to ty... byłeś... wspaniały! - powiedziała impulsywnie.

Książę odstawił kieliszek.

- Trudno znaleźć słowa, które opisałyby, co czuję - powiedział. - Bardzo się boję, Magnolio, by cię nie przestraszyć.

- Nie sądzę, bym... po dzisiejszym... dniu - odparła słabym głosem - bała się... czegokolwiek. .. jeśli będziesz... przy mnie.

- Mam nadzieję, że to prawda - odrzekł książę - ale ja nie myślałem o strachu przed bandytami, ale przede mną!

Zauważył, że się rumieni, przez co wyglądała jeszcze piękniej niż przedtem. Wiedział, iż jego słowa sprawiły, że zadrżała, ale tym razem nie ze strachu.

Wtedy powiedział miękko:

- Jeśli ty nie byłabyś dziedziczką, a my nie bylibyśmy już małżeństwem, choćby na kolanach prosiłbym cię, byś została moją żoną!

Czuł się jak hazardzista, który stawia wszystko na jedną kartę, modląc się, by to był właściwy ruch.

Po chwili, która wydawała mu się wiecznością, Magnolia odpowiedziała:

- Gdybyś... nie był... księciem i nie miał już bardzo zaborczej żony... powiedziałabym... „tak”!

Książę wstrzymał oddech.

- Mam zaborczą żonę?

- Bardzo... bardzo zaborczą! Nigdy... nie pozwoli ci... odejść.

Książę przysunął się do niej.

- Moja kochana! Moja najdroższa! - powiedział. - Czy ty to naprawdę powiedziałaś?

Magnolia nie potrafiła odpowiedzieć, więc po chwili rzekł zmienionym tonem:

- Na litość Boską, Magnolio, nie igraj z moimi uczuciami! Tak bardzo cię pragnę, że nie potrafię trzeźwo myśleć. Nie zniósłbym myśli, że odwracasz się ode mnie ze strachu. Zrobię, cokolwiek zechcesz, lecz błagam, spróbuj mi zaufać.

Magnolia popatrzyła na niego, a jej twarz znalazła się tuż przy nim.

- Ufam ci... ufam... - wyszeptała - i... i... kocham cię!

Książę ujął jej dłonie.

- Naprawdę? - zapytał, - Naprawdę tak jest? Och, kochanie, gdy biegłem, trzymając cię w ramionach, miałem dziwne uczucie, że pędzimy nie tylko ku wolności, ale i ku naszemu szczęściu.

- Ja... też tak myślałam. Czułam bicie... twojego serca i... chciałam byś mnie przytulił... mocniej ... i jeszcze mocniej.

- Teraz to zrobię.

Objął ją, a potem powoli, bardzo powoli, jakby wciąż bał się ją przestraszyć, jego wargi odnalazły jej usta.

Gdy ją pocałował, wiedział, że tak jak oczekiwał, miała miękkie, delikatne i niewinne wargi, i że dała mu szczęście, jakiego nie doznał w całym swym życiu.

Dla Magnolii było to spełnienie wszystkiego, czego pragnęła, za czym tęskniła i co, jak sądziła, nigdy miało się nie zdarzyć.

To miłość, która, jak zawsze jej powtarzano, była poza jej zasięgiem; miłość, która nie miała nic wspólnego z jej majątkiem, tylko z nią samą.

Gdy ją całował, czuła, że tak jak on jej, tak i ona oddaje mu całe swe serce i duszę.

Był tak blisko, że przestawała być sobą stając się częścią jego, tak jak on był częścią jej.

Gdy jego pocałunki stawały się bardziej gorące, wydawało jej się, że porywa ją na szczyt najwyższej góry, że ziemia pozostaje w dole, a wokół są tylko gwiazdy, niebo i oni.

Pragnęła być bliżej, coraz bliżej niego, a gdy podniósł głowę, powiedziała drżącym ze szczęścia głosem:

- Kocham... kocham cię!

- Ja też cię kocham, najdroższa - odparł książę. - Kocham cię, bo jesteś najcudowniejszą osobą jaką w życiu spotkałem, i sądzę, że przeznaczono nas sobie już na początku świata.

- Ja... ja też chcę w to... wierzyć... i nie zależy to od... tego, kim... jesteśmy ani co... mamy... Prawda?

Książę wiedział, że to bardzo ważne pytanie.

- Kochałbym cię tak samo jak teraz kocham - zapewnił ją - choćbyś się urodziła w rynsztoku i nie posiadała nic poza tymi czarownicami, fascynującymi ustami.

Pocałował ją znowu, aż poczuła, że zabiera ją jeszcze wyżej, ponad górskie szczyty, do samych gwiazd, że obejmuje ich światłość, jak głęboko wierzyła, światłość bogów.

- Kocham cię! - powiedziała, gdy zdołała wydobyć z siebie głos - i żałuję, że jesteś... księciem. .. i że nie możemy żyć w... małym domku, gdzieś... w górach, gdzie... mogłabym troszczyć się o ciebie i... dowieść, że dla mnie nic... nie liczy się tak, jak... ty... mądry i taki... odważny.

- Naprawdę uważasz, że jestem odważny? - zapytał książę.

Popatrzył na nią i mogła ujrzeć miłość w jego oczach, gdy dodał:

- Jesteś najpiękniejszą osobą, jaką w życiu widziałem, a na dodatek jesteś najbardziej inteligentna i odważna. Lecz teraz będziesz kimś więcej.

- Kim?

- Najbardziej kochaną kobietą! Magnolio, pragnę twojej miłości. Rozpaczliwie jej pragnę! Nie zniosę życia bez niej.

- Jest... twoja... cała... twoja - wyszeptała z nutą namiętności w głosie. - Chcę być... twoja. .. chcę być... z tobą... na zawsze... bezpieczna, jak wtedy... gdy przeniosłeś mnie nad... tym okropnym urwiskiem!

- W przyszłości lepiej będę cię chronił - przyrzekł książę.

- Może... może dobrze, że... tak się stało, bo zrozumiałam, jak... jak bardzo cię kocham. Gdy pomyślałam, że ci bandyci mogą cię... zabić... czułam, że... z twoją śmiercią... zginąłby i... mój świat.

- Moja najdroższa, najśłodsza! - wykrzyknął książę. - Byłem głupi i bezmyślny, nie zdając sobie sprawy, że w takim dzikim, prymitywnym miejscu mogą grasować bandyci.

- Nie boję się... ich, póki... jesteś ze mną.

- Nigdy nie pozwolę ci się bać - odparł książę. - Niczego, a zwłaszcza mnie.

- Bałabym się tylko... gdybyś... gdybyś był na mnie... zły.

- Jak mógłbym się złościć na tak słodką i doskonałą osobkę?!

- Mogłoby się zdarzyć... kolejne... dziesięć tysięcy... róż, które by cię... rozgniewały.

Książę roześmiał się.

- Jeśli tak, zapłaciłabyś za nie dziesięćmioma tysiącami pocałunków!

- Z przyjemnością.

Mówiąc to, Magnolia zarzuciła mu ręce na szyję, by przyciągnąć go bliżej do siebie, lecz zamiast, jak się tego spodziewała, podać jej swe usta, książę pocałował jej

delikatną szyję, czując, jak Magnolia drży z podniecenia, jakiego nigdy przedtem nie doznała.

Całował ją, aż z trudem łapała oddech, aż jej powieki stały się ciężkie, a ciało poruszało się pod warstwami pościeli.

Nie rozumiała, co się z nią dzieje, ale pragnęła, by całował ją w ten podniecający, dziwny sposób, który sprawiał, że czuła się zupełnie inaczej, niż tego oczekiwała.

- Kocham cię, Magnolio! - rzekł książę głębokim, ochrypłym głosem. - Pragnę cię, kochanie, pragnę jako mojej żony! Lecz nie zrobię nic, czego byś nie chciała.

- Chcę... chcę być... blisko ciebie - wyszeptała Magnolia, nie mogąc złapać tchu. - Jeszcze... jeszcze bliżej... proszę... kochanie... cudowny... Seldonie... uczyni mnie swą żoną... prawdziwą... żoną.

Książę wstał i zgasił wszystkie światła, zostawiając tylko jedno, zdjął niebieski płaszcz i wsunął się do łóżka obok niej.

Wziął ją w ramiona.

- Chyba za późno na to, ukochana - powiedział - ale przyrzekam, że nie dotknę cię, póki sama o to nie poprosisz.

Magnolia roześmiała się, promieniejąc ze szczęścia, które usunęło cały jej wstyd. Przysunąwszy się do księcia, wyszeptała:

- Proszę, dotykaj mnie... dotykaj... tylko, Seldonie...

- Tylko co?

- Tylko przy tobie czuję się tak... dziwnie... podniecona.

- Chcę, byś się tak czuła - odparł książę - i jeśli ja cię podniecam, to wiedz, moja piękna, malutka żonko, że ty podniecasz mnie do granic obłędu.

Mówił głębokim, namiętym głosem, lecz opanował się na tyle, by dodać:

- Lecz będę bardzo delikatny. Nie pozwól, bym cię przestraszył czy przeraził.

Mówiąc to, odsunął jej z ramion koszulę i dłonią dotknął jej piersi.

- Kocham cię - krzyknęła Magnolia. - Kocham cię i wszystko, co uczynisz... będzie doskonałe... i... boskie.

- Kocham cię! Podziwiam cię! Uwielbiam cię! - wyszeptał książe.

Ich serca były już wspólnym rytmem, a jego pocałunki, pocałunki żołnierza i zdobywcy, pokonującego olbrzymie przeszkody, stały się pocałunkami zwycięzcy.

Był bardzo delikatny, a ona poddała się naporowi jego ust, dłoni i całego ciała.

Potem, na skrzydłach ekstazy, miłość zaniósła ich w objęcia rozświetlonego gwiazdami nieba i wiedzieli, że liczy się tylko to, że jako mężczyzna i kobieta stają się jednością teraz i na wieczność.